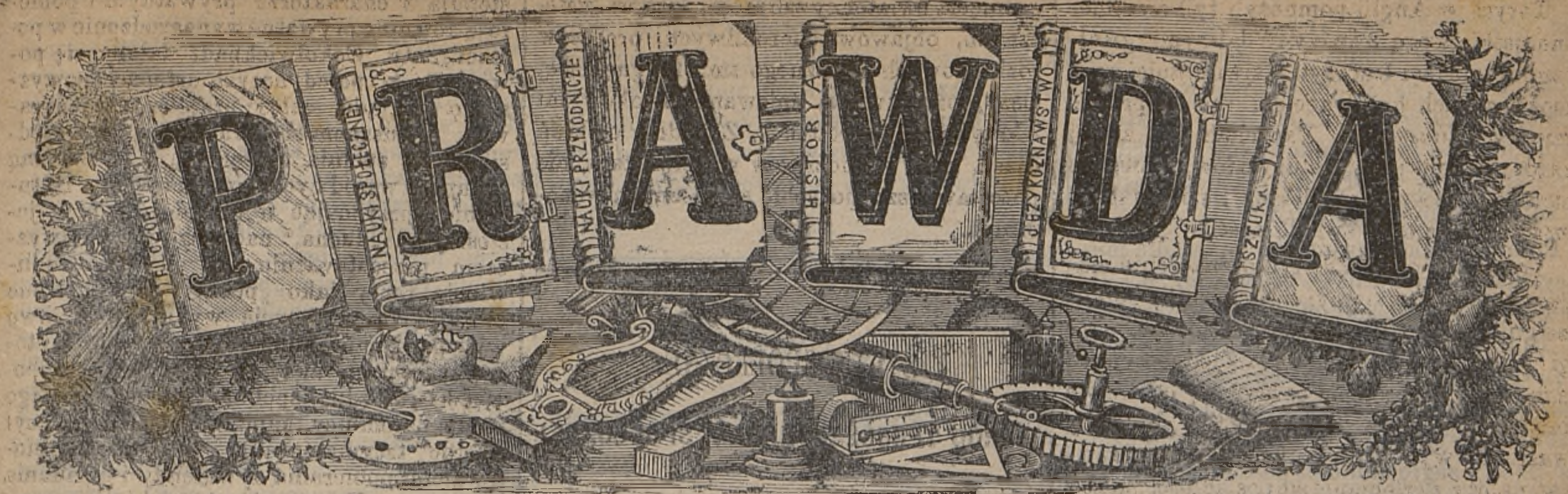
№ 52. Warszawa, dnia 28 (16) Grudnia 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

NASZE WYDAWNICTWA.

Na początku roku przyszłego wydamy dwie już opracowane książki, których przedmiotem będzie dziecko. Jedna z nich, przeznaczona dla rodziców i opiekunów,

PSYCHOLOGIA DZIECKA

opracowana na podstawie badań Preyera, Pereza i in.,

zawrze wyniki naukowe i wskazówki praktyczne, odnoszące się do pierwszych lat życia człowieka. Druga zaś

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana) stanowić będzie słownik odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie dziecku nasunąć się mogą.

Prawda w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową postacią i na dotychczasowych warunkach. Prosimy o nadsyłanie przedpłaty **wcześnie** i o ile można do Administracyi naszej **bezpośrednio**.

Nowoprzybywający abonenci otrzymać mogą dwa wydane dotąd zeszyty Historyi Rewolucyi francuskiej Migneta za opłatą 50 kop.

POLITYKA.

OSTATNIA KARTA DZIEJÓW
(rok 1889).

Smutną i martwą, szarą i nieprzyjemną będzie karta historyi, oznaczona rokiem ubiegłym. W ciągu bowiem tego okresu gromadziły się i gęstniały dalej wyziewy i ciemności „zbrojnego pokoju," który Europa uczyniła głównym przedmiotem swych starań, a który dławi jej oddech, mroczy wzrok, oślepia rozum i straszy wyobraźnię coraz okropniejszemi widziadłami. W złowrogiej ciszy rozlegały się tylko turkoty fabryk, przygotowujących nowe karabiny, stłumione komendy wojsk, szepty sojuszów a od czasu do czasu groźne pobrzękiwania pałaszem.

Niemcy, które stworzyły tę od lat wielu trwającą epokę cofania się wstecz w cywilizacyi a postępu w uzbrojeniach, i w roku minionym stały na czele obu tych ruchów. Aż przykro patrzeć, jak w tym narodzie wysokiej oświaty, głębokiej myśli i wzniosłej poezyi zamierają wszystkie pierwiastki szlachetniejsze a natomiast rozrasta się dzika, z pobudek moralnych wyzuta, brutalna siła. Jej posiadacz i czciciel powyrywał i podeptał na niwie życia wszystkie kwiaty i krzewy, które rozlewały po niej wonie i barwy uczuć idealniejszych, a pozostawił i hoduje tylko te drzewa, z których można wyrabiać maczugi. Zgwałcona, sponiewierana, z upuszczoną brwią konstytucya stała się nędznem i bladem widmem albo manekinem, poruszanym siłą jednej woli. Parlamentaryzm niemiecki, który od lat paru zamieniał się na złudną dekoracyę, w roku przeszłym postąpił tą drogą kilka kroków dalej: kanclerz, zapomocą posłusznej mu większości, kazał uchwalić sobie budżety i prawa na dłuższy przeciąg czasu, które go zaopatrują we wszechwładzę. Naturalnie Moloch, któremu on składa wszystkie ofiary narodu, znowu otrzymał liczniejsze. Jakkolwiek uroczyście zapewniono, że pompa militaryzmu już głębiej swego tłoka zapuszczać nie będzie, budżet wojskowy wzrósł znacznie.

Pompowanie to musiało wywołać odpowiednią działalność w innych państwach a zwłaszcza w sprzymierzonych z Niemcami. Prawą ręką obejmuje Bismark Kalnokego, lewą Crispiego — im też polecił sprawić mocniejsze pancerze „pokoju." Ile milionów guldenów i lirów ten sprawunek pochłonął i pochłania—statystyka nie umie powiedzieć ściśle, bo zgubiła całkiem rachunek w olbrzymich cyfrach. Tylko ekomia świadczy, że Włochy z tą niemiecką przyjaźnią pędzą do ruiny, Austrya zaś wyczerpuje ostatnie siły i ogólną biedą przyspiesza swój rozkład wewnętrzny. Inne przyczyny odśrodkowego ruchu Węgier i Czech są pochodne, główną zaś jest niewątpliwie niszczący i gnębiący militaryzm. Madziarowie prześladują w Tiszy spólnika Bismarkowskiego, młodoczesi — jątrzą się również zewnętrzną zależnością państwa, we wszystkich krajach monarchii Habsburskiej wzrastają opozycye przeciwko rządowi, bo we wszystkich rak militaryzmu niszczy zdrowie i życie społeczeństw. Jedyny jego nieprzyjaciel przy tronie, arcyksiążę Rudolf, samobójstwem usunął się ze świata, zostawiając po sobie romantyczną legendę, ale zarazem większe śród ludów jego ojca zniechęcenie.

Rok miniony odbił się ważnemi zmianami w losach Słowiańszczyzny południowej. Bulgarya posunęła się dalej w kierunku swych sympatyj austryackich, natomiast Serbia zerwała te nici. Po zmianie konstytucyi w duchu swobodniejszym i ustąpieniu z tronu Milana, regencya unieważniła jego zobowiązania polityczne i ekonomiczne; z ostatnich dwa szczególnie były gwałtownymi wybuchami jej energii, mianowicie: odebranie dróg żelaznych i mopolu solnego spółkom kapitalistów prywatnych na rzecz państwa.

Stosunkowo najszczęśliwszym rezultatem zamknęła rok przeszły Francya: urwała łby hydrze bulanżystowskiej, przebyła szczęśliwie dla Rzeczypospolitej ogień nowych wyborów, odniosła świetny tryumf na wystawie i uspokoiła namiętności w łonie Izby. Od lat kilkunastu żaden rok nie był dla niej obfitszym w burze i niebezpieczeństwa — jeżeli więc tylko ocaliła nawę państwową od rozbicia na skałach, może być zadowoloną.

Torysi w Anglii pomnożyli tylko sromotne listki swego wawrzynu dalszymi gwałtami względem Irlandyi. Najwstrętniejszym może z nich był dyabelski sąd w sprawie między *Timesem* a Parnelem, w której rząd, pomimo jawnych dowodów, stanął po stronie gazety londyńskiej i pomagał jej w znieważaniu sprawiedliwości.

Pomijając chwilowe tylko znaczenie mający zatarg Szwajcaryi z Niemcami, bezsilne gniewy i sztuczne jęki Watykanu, wrogi Europie zwrot Stanów Zjednoczonych Ameryki, a wreszcie przemianę cesarstwa brazylijskiego na rzeczpospolitą, do liczby ważnych wypadków roku minionego zapisać należy zagłębianie się posiadłości państw europejskich we wnętrze Afryki. Anglia, zawsze celująca w tych operacyach, zapomocą nowych związków kapitału rozszerzyła i umocniła swój wyzysk tego gruntu; z daleko większą wrzawą, ale mniejszym łupem wdarły się od wschodu w ląd afrykański Niemcy. Kilka przedsięwzięć prywatnych zbankrutowało, nareszcie rząd otoczył je swem żelaznem skrzydłem i wysłał kapitana Wissmana, który wszakże dotąd obsiewa przyszłe kolonie niemieckie tylko armatniemi i karabinowemi kulami.

Po powrocie Stanleya i Emina z wnętrza Afryki dzieło zdobycia jej otrzyma prawdopodobnie energiczniejsze dźwignie i pewniejszy kierunek. Ci bowiem pionierowie staną się szefami sztabów zaboru.

Oto jest w ogólnych rysach treść ostatniej karty dziejów Europy. Nad którymże jej wyrazem ma się zatrzymać z przyjemnością uwaga współczesnych? Chyba tylko nad wystawą paryską, boć ona była wystawą owoców pracy i twórczości ludzkiej. A na czem spocznie uwaga potomnych? Wątpimy, ażeby ona coś dla siebie znalazła w r. 1889. Co najwyżej chronologia zapamięta go jako datę samobójczej śmierci romantycznego Habsburga, początku rzeczypospolitej brazylijskiej, a jeżeli zechce być drobiazgową, to i datę abdykacyi Milana oraz powrotu Stanleya z Eminem. W historyi będzie on stanowił dalszy ciąg przygaśnięcia świateł cywilizacyi, ruchów wstecznych, objawów chorobliwych, procesów rozkładowych i dusznego zmroku gnębiącej ciszy, przerywanej śpiewami biwakowymi i krzykami „ausrotten.“ Zapadł w otchłań czasu, nie wzbudziwszy w nikim żalu, nie pozostawiwszy po sobie serdecznych wspomnień.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

VI. Organizacyjno-społeczna działalność kapitału.

W ostatniej swojej pracy, *Kapitale*, Rodbertus zajmuje się między innemi rozwinięciem szczególnych zapatrywań na rolę społeczną tegoczesnego przedsiębiorcy; głębokie wejrzenie w istotę rzeczy splata się tutaj w dziwną całość z wyjawami wązkiej „kraut-junkierskiej“ umysłowości. Badacz ten usiłuje dowieść, że kapitalista-przedsiębiorca jest „urzędnikiem“ społecznym. Przedstawia tedy społeczeństwo abstrakcyjne, w którem jedna zcentralizowana wola narodowa zarządzałaby wszelkiemi odbywającemi się sprawami gospodarczemi. W takim wymarzonym ustroju zachodzi potrzeba szczególnych organów społecznych („urzędów“ — jak powiada autor), któreby dopilnowały, aby surowce itd. przenoszono w dalsze zawody do obrobienia; jeszcze innych, które utrzymywałyby produkcyę na wysokości środków technicznych; wreszcie takich, które zajęłyby się poznaniem potrzeb społecznych i wyznaczeniem odpowiedniem rozmiarów każdorocznej produkcyi. Następnie, przechodząc do społeczeństwa obecnego, szuka osób spełniających te powinności. Nie trudno mu dowieść, że owo zadanie przypadło przedsiębiorcom. Oni to zajmują się przystosowaniem produkcyi do potrzeb społecznych, utrzymaniem jej na poziomie techniki, przenoszeniem surowców i wytworów z jednej okolicy do drugiej i z jednej gałęzi przemysłu do innej. Są zatem w ustroju tegoczesnym organami pierwszorzędnej konieczności społecznej, a ich znaczenia „urzędowego“ bynajmniej nie zmienia okoliczność, że występują w charakterze prywatnym i pobierają również prywatne wynagrodzenie w postaci renty. Cokolwiekbądź dałoby się powiedzieć o pojedynczych ustępach powyższego poglądu, całość przecież jest jaskrawem a słusznem stwierdzeniem, że przedsiębiorca spełnia szczególną a niezbędną czynność wśród życia gromadzkiego. Naturalnie, przyznając tę prawdę, dalecy jesteśmy od „ducha,“ nadanego jej w powyższem przedstawieniu, tj. od usprawiedliwienia renty jako „pensyi“ za poniesione mozoły. Zresztą życie wykazało, że owo wynagrodzenie staje się synekurą; w stowarzyszeniach akcyjnych wszystkie obowiązki „urzędu“ spełniają płatni wyższego rzędu najemnicy, kapitalista zaś ograniczył się do trzymania akcyj w biurku ogniotrwałem, pobierania dywidendy i obcinania kuponów... Przypomina to niektóre wywody Taine'a. Pan feodalny, dopóki siedział wśród poddanych w zamku, gotów każdej chwili do wymierzenia sprawiedliwości i odparcia wrogów, był podobnym „urzędnikiem;“ odkąd jednak przeniósł się na salony dworskie a swoje obowiązki zdał dzierżawcom, został bezużytecznym pasorzytem, którego też nieomieszkano usunąć wraz z pobieraną „pensyą...“

Mniejsza zresztą o stanowisko, jakie ekonomista niemiecki zajął w tej sprawie. Co do nas, podejmujemy jedynie zasadniczą myśl, tkwiącą w przytoczonym poglądzie, jakkolwiek stosujemy odpowiednie pojmowanie do najzupełniej różnego przypadku. Chcielibyśmy mianowicie dowieść, że kapitał (bierzemy kategoryę nieosobową, w której zanika różnica pomiędzy kapitalistą czynnym produkcyjnie a biernym akcyonaryuszem) spełnia inną rolę dziejową, polegającą na organizowaniu tegoczesnego społeczeństwa według nowych a odrębnych wzorów, bardziej odpowiadających tegoczesnym warunkom produkcyi. Zresztą czyni on to w sposób nader bezwiedny, nie zdając sobie sprawy z dalekich następstw, ani też z podjętej roli. Musimy przyjrzeć się nieco zblizka tej działalności kapitału. Jużeśmy wspominali, że nowożytne metody produkcyi wnoszą rozkład w najrozmaitsze dziedziny życia gromadzkiego. Dawne urządzenia stają się niewystarczającemi dla zaspokojenia różnych potrzeb społecznych. Zatrzymajmy się chociaż nad jednym przykładem. Jeśli zapuścimy się myślą w średniowieczne czasy, ujrzymy, że nie znano tutaj dzisiejszej niepewności jutra. Dochód był stały, zależny od pracowitości i pewnych

WESELE SATYRA.

(Dokończenie).

Śród tych bachanalij Teria urodziła syna, który rozdrażnił ojca, bo mu od zabaw odciągnął matkę. Dziecko było urodziwe i krzepkie, ale Teria dostrzegła na jego uszkach ostre wierzchołki, które ją strapiły; znachor wszakże upewnił, że pod przyrządzoną przez niego maścią niewątpliwie znikną.

Niewolnicy i poddani pod dozorem włodarzów pracowali niezmordowanie, więc Satyr miał czem sycić swych gości, którzy wywdzięczali mu się hojną pomysłowością w uciechach, a Bachusa, jak świadczyły przybywające od niego nimfy, radowali wielce.

Wesoło też mijały dni i lata w Skapolu. Tylko rozgniewany a może zazdrosny Apollo coraz częściej zsyłał wściekłe burze, które na czas jakiś wstrzymywały zabawę. Teria urodziła znowu dziecko — córkę, w której zauważyła zbyt spłaszczony nosek. Rozjątrzony wymówkami Satyr, któremu broda zrzedniała i przybrała kształt koźlej, zabrał swoje towarzystwo i wywędrował z niem w odwiedziny do Bachusa. Szybko przemykającego boga nigdzie spotkać nie mógł, więc grasował bez celu i stałego kierunku, napadając podróżnych, paląc chaty, uprowadzając branki i drażniąc drwinami Tytana z sąsiedniej góry. Wreszcie zatęsknił do Terii i wrócił z powiększonym tłumem i zrabowanymi łupami. Pijany, okurzony pyłem, zapragnął kąpieli i kazał się rozebrać. Niewolnik, zdejmując mu sandały, nagle wrzasnął.

— Co się stało? — zapytała Teria i również wydawszy krzyk przeraźliwy, padła zemdlona.

Satyr zamiast stóp miał kopyta, nogi owłosione a nad nimi ogon. Przedstawiał mieszaninę kozła i człowieka.

Przyjacielska drużyna, zobaczywszy go w tej postaci, wstrętem czy strachem pchnięta, odskoczyła w popłochu. Ale po chwili jedna z bachantek podeszła do osłupiałego Satyra i głaszcząc mu brodę rzekła:

— To psota Bachusa, który ją jutro naprawi i zapewne tu zawita. Upodobnił cię do swego ulubieńca, ale jeśli go poprosisz lub zagrozisz mu buntem, nada ci kształt ludzki. Tymczasem zaś nie trap się, bo kozioł ma największe powodzenie u kobiet. No, wstań i chodź do tańca.

Uspokojony i orzeźwiony tą namową Satyr, zdarł z siebie resztę odzieży, porwał Terię i dał hasło do rozpasanej zabawy. Z winem w kielichu a pianą w ustach, z dzikim wzrokiem i zwierzęcemi poruszeniami ciała tańczył, śpiewał, wył i całował. Ale był to ostatni i sztucznie rozdmuchany żar namiętności. Pomimo wszystkich odurzeń, Satyr nie mógł zagłuszyć w sobie strasznej myśli o swojem zwierzęctwie, słyszał stłumione śmiechy i urągania współbiesiadników, więc stanął nagle, powiódł oczami wokoło i buchnął rozpaczliwem łkaniem.

Towarzystwo pierzchło jak rozdmuchnięta garść pierza. Terię odwołały zbudzone zgiełkiem dzieci — Satyr pozostał na dworze sam. Długo stał nieruchomy, niby skamieniały, wreszcie podszedł do ołtarza Bachusa, ukląkł i zaczął się modlić o przywrócenie mu postaci ludzkiej. Drewniany bóg nie odrzekł mu ani słowa, nie okazał miłosierdzia, choć czciciel błagał go serdecznie i czekał na cud do rana. Gdy blaski świtu odkryły z nocnych mroków twarz bałwana i gdy Satyr nie dostrzegł w niej nic, prócz lubieżnego uśmiechu, kopnął go nogą i wraz z ołtarzem roztrącił. Potem usiadł na ławie pod domem, oparł głowę na dłoniach i myślał — myślał nad przeszłem i przyszłem życiem swojem.

Tego dnia jutrzenka nie cofnęła się zawstydzona, a słońce weszło bez zasłony. Satyr jednak nie błogosławił tych gwiazd

ustaw zwyczajowych; naturalnie nie mówimy o chwilach wyjątkowych, jak wojny lub nieurodzaje. W razie choroby człowiek znajdował opiekę wśród rodziny, której się trzymał, jak polip pnia swojego; jeśli niemoc się przeciągała, funduszów zaś brakło, zorganizowana dobroczynność kościelna śpieszyła z pomocą obowiązkową. Podobnież starzec nie potrzebował troszczyć się, gdzie złoży zgrzybiałą głowę; organizm rodzinny przytulał go, w wyjątkowych zaś razach, gdy zabrakło tego oparcia, kościół spełniał taką powinność społeczną. Słowem, w społeczeństwie średniowiecznem kwestya choroby i starości nie istniała, lub, że ściślej wyrazimy, istniała, ale była załatwiana w szczególny sposób. Inaczej rzeczy przedstawiają się dzisiaj. Warunki nowoczesne rozbiły rodzinę na oddzielne atomy, zwłaszcza wśród świata zarobkującego pracą fizyczną. Brat niekiedy nie umie powiedzieć, co stało się z resztą rodzeństwa. Jednostka jest wymoczkiem, w bezustannym ruchu, na łasce fali, która ją przerzuca z miejsca na miejsce. Niepewność jutra zolbrzymiała. Jeśli przyjdzie choroba i zarobkowanie z tego powodu stanie się niemożliwe, nędza oczekuje chorego; wzięcie się do pracy, mimo osłabionego jeszcze zdrowia, jest tutaj koniecznością. A jakiż los uśmiecha się starcowi? Dobrze, jeśli posiada dzieci; te podzielą się kawałkiem chleba, chociaż w chwili zastoju przemysłowego i ta pomoc stanie się niepewna. Ale gdy niema rodziny? Widocznem jest, że życie społeczne wymaga odpowiednich czasowi urządzeń, które dałyby utrzymanie choremu i zapewniły schronienie inwalidowi pracy. Lecz kto przystąpi do zorganizowania stosownych instytucyj? Tylko dwie grupy społeczne stają wobec tego zadania, obie powołane do życia przez te same warunki społeczne, co złożyły się na stworzenie rozpatrywanych tu niedomagań. Z jednej strony występuje najmita fabryczny, przyuczony do solidarności przez zrzeszony tryb produkowania a właśnie prześladowany najciężej przez niepewność jutra w chorobie i starości; w wzajemnem połączeniu szuka on ubezpieczenia przeciw tym ciężkim okresom życia. Z drugiej znowu organizuje odpowiedni ratunek przedstawiciel przedsiębiorczego kapitału. Zabrał on najmicie najlepsze chwile życia i zdrowia, naturalną też jest rzeczą, że opinia publiczna żąda odeń stosownej pomocy dla robotnika na wypadek choroby i starości. Pod wpływem pracodawcy i z jego zasiłkiem finansowym powstają różne kasy, zabezpieczenia emerytalne itd. Te instytucye są właśnie organizowaniem społeczeństwa, w obrębie odnośnej kwestyi, według nowych wzorów. Należy bowiem dobrze to zrozumieć, że jeśli troskę nad starcem lub chorym obejmuje jakaś kasa fabryczna, wydziera ona rozkołatanej rodzinie cząstkę jej dawnych praw i w stosownym zakresie solidarność rodzinną czyni rzeczą zbyteczną. Tego rodzaju starzec lub chory są już osobami unarodowionemi. Że owo unarodowienie istnieje w szczupłych granicach jednego zakładu, nie zmienia to postaci rzeczy. Z czasem zostanie ono w polityce społecznej Bismarka rozszerzone na całe społeczeństwo: choremu i staremu najmicie przyznane będzie prawo do obowiązkowej państwowej pomocy i emerytury. W tym razie żelazny książę jedynie posunął urabianie się społeczeństwa według nowych wzorów, odbywające się przy fabryce, o krok dalej — na cały obszar społeczny.

Z tego przedstawienia czytelnik może sądzić, co rozumiemy pod organizującą działalnością kapitału. Jednym z głównych wyjawów w tym kierunku są zbadane już instytucye patronalne. Wiemy źródło, z którego one wytrysnęły. Obecnie wypadałoby je rozpatrzeć z nowego punktu widzenia, mianowicie, jako wcielenie organizującej działalności kapitału. Z tego samego stanowiska należałoby zająć się innymi „czynami" przedsiębiorcy, dochodzącymi niekiedy do olbrzymich rozmiarów, jak np. w sprawie mieszkalnej. Atoli to drobiazgowe badanie zaprowadziłoby nas zbyt daleko i—co ważniejsza — nie wysnułoby żadnych nowych widnokręgów; w tym rozbiorze nie zyskalibyśmy nic więcej nad to, cośmy znaleźli w kwestyi choroby lub starości. Zatrzymamy się przeto tylko nad niektórymi faktami, wybranymi celowo, aby pokazać, że owa działalność społeczna może posunąć się do wzorów bardzo skrajnych lub do urządzeń nader charakterystycznych.

Maszyna np. odrywa kobietę od ogniska domowego i dozorowania dziatwy i rzuca do fabryki. Potrzeba wtedy instytucyj, które zastąpiłyby nieobecność matki. Przy zakładzie w Delft istnieje odpowiednio zorganizowana ochronka; matka odnosi tutaj swoje (już dwuletnie) dziecko, z wyjątkiem niedzieli i świąt, opłacając do kasy fabrycznej 10 centów tygodniowo. Podobne urządzenia istnieją przy każdem znaczniejszem przedsiębiorstwie, które usadowiło się zdala od gwaru wielkomiejskiego. Dochodzą one czasami do bardzo krańcowego wyrazu, jak w familisteryach w Guise i w Laeken-les-Bruxelles, gdzie w ochronie znajdują pomieszczenie już kilkumiesięczne dzieci nawet nocą, jeśli zgodzą się rodzice. I rzecz dziwna, jakkolwiek wypadło nam przerzucić mnóstwo broszur w odnośnych kwestyach, nie spotykaliśmy się z żadnym głosem przeciwnym tego rodzaju zakładom, chociaż są one zaprzeczeniem rodziny, a raczej zaczątkiem uspołecznienia dotychczas prywatnych obowiązków rodzicielskich. Wzięliśmy tu organizacyjną działalność kapitału, wywołaną przez zapotrzebowanie pracy kobiecej, a doprowadzającą do usunięcia dziatwy z pod wpływów matki i oddania szczególnej osobie społecznej. Lecz być może nigdzie organizująca czynność przedsiębiorcy nie występuje tak jaskrawo, jak w zakresie szkolniczym. Wielkie zakłady przemysłowe potrzebują specyalnie wykształconych sił roboczych, których nie wydadzą państwowe zakłady wychowawcze, będące spuścizną po staroczesnej rutynie. Temu wymaganiu można uczynić zadość w jeden tylko sposób — przez założenie odpowiednich wykładów przy fabryce. Powstają instytucye szkolne, będące niekiedy w całem tego słowa znaczeniu urzeczywistnieniem postępowego ideału pedagogicznego. Kilka przykładów wystarczy na dowód; wybieramy najwybitniejsze z tych, które mamy pod ręką, co nie dowodzi, aby nie było lepszych. Zakłady ślusarskie Montier w Paryżu. Kursy dla uczniów trzechletnie. Rozpatrzmy rok pierwszy, najskromniejszy. Nauka rzemiosła ślusarskiego; początki metalurgii; rysunki i modelowanie; buchhalterya i korespondencya; wykształcenie moralno-obywatelskie. Nie możemy się oprzeć, aby drobiazgowo nie podać programu tego ostatniego. Główne pytania brzmią: „Dlaczego wybrałeś zawód ślusarski? Opowiedz o jakimś wielkim czynie miłosierdzia? Wskaż jakiś dowód wielkiej odwagi? Jakiego doznajesz uczucia na widok pijanego? Opowiedz, co wiesz o kasach oszczędności? Czy masz chęć zostać członkiem towarzystwa wzajemnej pomocy i jakie korzyści otrzymasz z zapisania się?" Nie zapominajmy, że pytania te są zadawane często dziesięcioletniemu malcowi, który w ten sposób zostaje od wczesnego wieku zaznajomiony z różnemi stowarzyszeniami spożywczemi, współdzielczemi i wepchnięty w ich wir. Albo zwróćmy się ku wspomnianym familisteryom i rozejrzmy się w urządzonych tutaj kursach elementar

---

nieba za światło, bo ono tylko bardziej uwydatniało jego przemianę. Był nagim, odzież w domu zostawił i ukazać się Terii nie chciał; więc popędził do lasu i tam naprzód z szerokich liści szpilkami kolek sosnowych upiął sobie spódnicę, którą na biodrach zawiązał. Ukrywszy w niej koźle nogi, weselszy nieco, wyszukał sobie cieniste ustronie i spoczął. Ale tu znowu wspomnienia otoczyły go rojem os gryzących. Ażeby je odegnać, wykręcił fujarkę z prątka leszczyny i zaczął grać. Z początku wydobywał z niej tony rzewne, ale powoli przyśpieszał ich rytm, nadawał im skoczność, a wreszcie, mimo woli i wiedzy, przechodząc od lekkich ruchów ciała do coraz żwawszych, wpadł w namiętny taniec. W tej chwili przepłynęło po lesie echo:

— Satyrze!

Był to głos Terii. Satyr zdrętwiał, uczuł siekące go jak rózgi dreszcze, cisnął fujarkę i nie odezwawszy się — uciekł. W ostępach leśnych przepędził dni wiele. Słyszał często wołanie Terii, ale jej nie odpowiadał.

Razu pewnego, rozmyślając w gęstwinie, zauważył, że włosy z jego koźlich nóg same wychodzą i łatwo wyciągać się dają. Spostrzeżenie to wybłysło mu na twarz nadzwyczajną radością: zaczął pospiesznie i starannie oskubywać nogi, które odzyskały ludzką, drobnym tylko puchem porosłą skórę. Powstał z ziemi i kilkakrotnie podskoczył; ale natychmiast jakaś przykra myśl unieruchomiła go zupełnie.

Wieczorem, gdy ludzie z pól zeszli, podkradł się pod ściany swego domu i zajrzał do wnętrza: Teria pieszcząc dzieci, mówiła do nich:

— Dziś albo jutro, niedługo ojciec powróci.

— Ale już nie będzie taki straszny?

— Nie.

Satyr nie miał odwagi wejść, ale i mocy oddalić się. Chociaż wszyscy w domu ucichli, on przyczajony pozostał i śród marzeń o straconem szczęściu zasnął. Gdy nazajutrz otworzył oczy — ujrzał przy sobie Terię. Zerwał się i chciał uciekać — ona go zatrzymała:

— Bądź z nami, wyładniałeś...

Przyjemne ciepło ogarnęło serce Satyra.

— Dzieci twojej opieki i obrony potrzebują — mówiła łagodnie — niedola im grozi. Tytan, przygotowując sobie bryły skał do miotania na bogów i zdobywania nieba, rozbił nasze góry, zniszczył winnice i wydusił ludzi...

— Terio — rzekł Satyr w uniesieniu — ja go kiedyś zraniłem, dziś zabiję.

I chwyciwszy z komnaty łuk, poleciał jak wiatr w kierunku siedziby Tytana.

Już po długiem a daremnem wyglądaniu wyrzucać sobie zaczęła, że go podniecila do nierównej i niebezpiecznej walki, gdy na zakręcie drogi ukazał się Satyr. Przysuwał się szybko i jak gdyby lekkim chodem swojej młodości.

— Strzała moja tkwi w jego ślepiu!— zawołał z oddali.

— Satyrze — rzekła wzruszona Teria — ty nie masz... kopyt.

Satyr rzucił wzrok na nogi — rzeczywiście miał stopy ludzkie. Odbicia niewiary i zachwytnego uniesienia zmieszały się na jego twarzy w śmiech łzawy.

— Terio! — krzyknął rozpartą piersią i zawisł na szyi żony.

Już tylko głowa raziła w nim brzydotą, chociaż znacznie złagodzoną. Za to główki dzieci spiękniały, ledwie drobnemi podobieństwami przypominając ojca.

Satyr widocznie odradzał się. Pociąg do hulanek w sobie tłumił, z Terią poważnie rozmawiał, ze służbą pracował, niewolnikom ciężary zmniejszył. W kilka dni po przybyciu i walce z Tytanem, siedział przed domem na murawie z dziećmi, które go już nie unikały i tłomaczył im dobroć słońca, gdy z tyłu nagle padał na nich jakiś wielki cień. Satyr obejrzał się i z przerażeniem zobaczył tuż stojącego Tytana. Olbrzym, sięgający czubem do wierzchołków palm obocznych, z jednem okiem wyłuskanem i krwią zaciekłem, z maczugą w prawej rę-

nych. Praca fizyczna i wykształcenie techniczne są połączone z nauką teoretyczną. Co miesiąc dyrektor szkółki wykłada dziatwie obojga płci o jakiejś zalecie moralnej i zdolności umysłowej. W okresie 1887—1888 mówi zatem w październiku o umiejętności ładnego pisania i o cnocie, porządku, systematyczności i czystości; w listopadzie na porządku dziennym ukazuje się arytmetyka i wspaniałomyślność; w grudniu geometrya i zamiłowanie pracy— itd. Wreszcie w lipcu mamy geografię i poświęcenie z bezinteresownością, w sierpniu zaś algebrę i odwagę z bohaterstwem. Kiedy dziatwa dobrze zrozumiała, na czem polegają odnośne uzdolnienia i cnoty, głosuje, kto z towarzyszów i towarzyszek posiada je w wyższym stopniu. Wybrani już w mniejszej, już w większej liczbie, stanowią radę, która przez cały miesiąc pilnuje porządku w szkole; w razie, jeśli ktoś zasłuży na karę, to małe zgromadzenie staje się sądem przysięgłych, który wyrokuje o winie. Innych sądów niema... „Tak przyszli obywatele kształcą się w spełnianiu obowiązków obywatelskich i w poświęcaniu swoich sympatyj lub nienawiści osobistych na ołtarzu rzeczywistej zasługi...“ Jak z zęba można odtworzyć organizm kopalny, podobnie z powyższego faktu nabrać wyobrażenia o reszcie pedagogicznego postępowania. Naturalnie nie wolno zapominać, że mamy tutaj przed sobą familisteryę, tj. okaz wyjątkowy, lecz z drugiej strony należy nadmienić, że w sprawie kształcenia kursy i szkoły fabryczne posunęły się wogóle bardzo daleko. A gdyby razem te szczątki zebrano: owe ochronki dzieci, piekarnie fabryczne, obowiązkową pomoc w razie choroby, sklepy spożywcze, szkoły, wszystko to zaś rzucono na tle chociażby przedsiębiorstwa udziałowego i przedstawiono tę syntezę jako ideał społeczny, okrzyczanoby autora za burzyciela społecznego... Tymczasem przedsiębiorców, pod wpływem których powstają te cząstkowe odłamy, uważa się za obrońców porządku społecznego. Zaproponujmy np. unarodowienie porady lekarskiej, a zobaczymy, jaki natychmiast odezwie się huczek! Czem zaś jest lekarz fabryczny? Od niego już krok tylko do szerszej reformy, podobnie jak emerytura patronalna jest podnóżkiem do Bismarkowskiego ubezpieczenia starości...

Słowem, musimy przyznać, że tegoczesnemu przedsiębiorcy przypadła rola społeczno-organizatorska w zakresie stosunków, które maszyna poddała rozkładowi. Mamy tutaj stwarzanie nowych form wychowania dzieci, rozszerzanie podziału społecznego pracy na dziedziny dotychczas nietknięte, uspołecznianie czynności i urządzeń jak wolne profesye i opieka nad starcami lub chorymi.. Zaprzeczać tej działalności w imię tego, że przedsiębiorca jest pijawką na tułowiu pracującego najmictwa, byłoby istotnem dzieciństwem. Zresztą podjęliśmy rozbiór organizacyjnej działalności kapitału zgoła nie dlatego, aby śladem Rodbertusa usprawiedliwiać jego „pensyą“ i jesteśmy dalecy od stawiania mu pomników i wyśpiewywania hymnów, tem bardziej, iż znamy pobudki owych czynów. Chcemy jedynie poznać, czem przedsiębiorca jest wśród obecnego porządku. Atoli po rozpatrzeniu odpowiednich objawów, nastręcza się inne pytanie, mianowicie: czy kapitał jest w możności zorganizowania społeczeństwa na całym obszarze życia gromadzkiego według wzorów odpowiednich nowym siłom produkcyjnym, oraz, jeśli to jest możliwe, o ile byłoby pożądane? Mamy dzisiaj do czynienia z całym nawet prądem, który wyznacza przedsiębiorcy odpowiednie zadanie („społecznicy chrześciańscy“). Zobaczmy przeto, czy wolno się spodziewać, że rozpatrywana osoba będzie w stanie wywiązać się z tej powinności. Jest jedna okoliczność, świadcząca na niekorzyść tej nadziei, mianowicie, że najmici, mimo swego ciężkiego położenia, zrobili więcej dla usunięcia rozkładu, niż przedstawiciel maszyny; z drugiej zaś strony już to, że organizująca działalność przedsiębiorcy główne, jeśli prawie nie jedynie, występuje w odludnych ustroniach, tymczasem nieznana bywa w wielkich ogniskach fabrycznych, dowodzi znowu, że jest on działaczem tylko cząstkowym, niezdolnym do objęcia całego obszaru społecznego. Nie dość tego. Pojedynczy zakład jest śluzą, przez którą przepływa bezustannie fala najmitów, zatrzymując się w nim tem krócej, im „kapitalizm“ jest bardziej posunięty w kraju. Cóż stąd wynika? Robotnik zostaje zabezpieczony na starość przez przedsiębiorcę. Ale co będzie z zabezpieczeniem, jeśli losy rzucą go dalej? Interwencya patronalna nie może wydostać się po za obręb zakładu, tymczasem życie przerzuca robotnika. Usunięcie rozprzężenia jest możliwe tylko pod jednym warunkiem, że najmita na stałe zostanie zatrzymany w fabryce. Jak wiemy, jest to jeden z celów, dla których powołano do życia instytucye patronalne. Atoli urzeczywistnienie takiego stosunku na całem terytoryum społecznem byłoby dosłownie wskrzeszeniem dawnego *adscriptio*, chociaż już nie *glebae*, lecz *fabricae*. Wątpimy, aby taka nowożytna pańszczyzna fabryczna mogła być pożądanym ideałem, lubo uśmiecha się ona pewnym „marzycielom.“ Wreszcie nawet gdyby przedsiębiorca wystąpił jako ogólno-społeczny organizator, wątpliwem jest, czy nie stworzyłby nowego wyzysku. Widzieliśmy dotychczas wzory jedynie humanitarne, gdzie cele samolubne występowały w sposób pośredni. Wiemy, że są to wyjątki. Udajmy się jednak do prowincyj zacofanych ekonomicznie. Urzędowy sprawozdawca belgijski kreśli bardzo przykre obrazy. „Przedsiębiorcy, jeśli tutaj biorą się do stwarzania instytucyj patronalnych, czynią to w nadziei ciągnięcia z nich zysków i powiększenia swojej władzy nad personelem.“ W ten to sposób dla usunięcia pewnych zjawisk rozkładowych zorganizowano sławne domki górnicze w Anglii, truck-systemy i in.! A więc gdyby kapitał był w stanie zorganizowania społeczeństwa i usunięcia rozkładu, nałożyłby z góry na to wszystko charakter klasowo-wyzyskujący; byłoby to urządzenie niewoli i poddaństwa dożywotnie w nędzy. Słowem, jego działalność w tym kierunku jest niemożliwą praktycznie i nawet gdyby miała prawdopodobieństwo powodzenia — niepożądaną. Kto inny musi zabrać się do działalności organizacyjnej, do której przedsiębiorca jest zdolny jedynie w zakresie fabryki, lecz i tu nieodpowiedni wskutek samolubstwa klasowego. Taką pozafabryczną najszerszą próbę w tym kierunku uczyniły dotychczas projekty Bismarka. Są jednak jeszcze inni organizatorzy, którym przyjrzymy się w dalszej już przyszłości.

K. R. Żywicki.

---

ce, ujął lewą satyra za włosy, podniósł go od ziemi i trzymając w powietrzu, rzekł kamiennym głosem:

— Odprawiłeś się od Bachusa, więc ja cię wezmę na służbę. Będziesz miał bliżej do mnie strzelać. Nie targaj się robaku bo ci łepek zgniotę słabem naciśnięciem moich palców.

Jednocześnie rozdeptał krzyczące dzieci a nie puszczając Satyra, wywołał z domu Terię i również uniósł ją z sobą.

Mieszkał on niedaleko we wnętrzu ogromnej góry, na której szczycie zgromadził stosy bryl do walki z bogami. Wnętrze to w znacznej mierze sam wypełniał. Było ono surowe, puste i ciemne, zapchane w szczelinach i norach niepoliczonem mnóstwem karlików, podparte u wierzchu potężną, mętnie przezroczystą kolumną, w której połyskiwały drobne iskierki, dostarczające mdłego światła całej tej przestrzeni.

Gdy Tytan wszedł z Satyrem i Terią, karliki podały mu pęk grubych i drobnych łańcuchów. Ale on je odtrącił i rzekł:

— Łańcuchem dla niego będzie ona, którą zamknijcie na wieki w kryształowej kolumnie, ażeby ją ciągle widział, a nigdy nie odzyskał. Niech na swych polach i w winnicach pracuje dla mnie.

Rozkaz spełniono.

Satyr rozpoczął nowy okres życia w niewoli i trudach. Chociaż mógł, nie uciekał, bo go przykuwała do miejsca Teria, którą kochał i jak gdyby w słupie obłocznym widział. Nawiedzające go w snach mary obiecywały mu, że ostatecznie bogowie pokonają Tytana, zgładzą jego górę i rozbiją jej kolumnę.

Więc dźwigał brzemię losu cierpliwie. W wolnych chwilach od pracy spisywał tajemnie na liściach swoje myśli i puszczał je z wiatrem po Skapolu lub też snuł z uczuć śliczne piosenki i wyuczał śpiewania ich ptaki miejscowego gaju.

Przesunął bóg czasu na swym różańcu paciorek wiele, a dola Satyra nie zmieniła swego biegu. Ale on w niej zmienił się bardzo: ogon mu uwiądł, nos ma prosty, uszy owalne, włosy miękie i w łukach na szyję spadające — jest znowu tak młodym i pięknym, jak w dniu swego wesela. Tylko Terii ani wywalczyć na ziemi, ani wybłagać u nieba nie może.

— Więc on żyje? — spytała zdumiona słuchaczka.

— Bajka twierdzi, że żyje, ale ponieważ z koźlej przedzierzgnął się w człowieczą postać, więc dobrzy ludzie mówią, że zginął.

W. Okoński.

LISTY KRAKOWSKIE.

Jakby fonograf. — Oblegająca pogłoska. — Pomnik Mickiewicza zaraz będzie. — Po sejmie. — P. Romanowicz członkiem wydziału krajowego. — Przemysł domowy. — Odczyty. — Ofiary nieurodzaju. — C. k. kwiatki. — Dowcip warszawski. — Koncert p. Pławińskiej.

Jak gdyby w fonograf włożono mowę posła Madeyskiego: gdzie ucho nadstawisz, tam się powtarza; dzienniki oświeciły ją każdy ze swego punktu, komisya prawnicza wyciągnęła z niej odpowiednio wnioski a kraj cieszy się nadzieją oglądania zmian w osławionem dotąd sądownictwie galicyjskiem. Dziś, kiedy rozszerzono pierwotne wnioski p. M., zobaczyliśmy w całej pełni wadliwe wykonawstwo ustaw i mimowoli nasuwa się myśl, że gdyby nie stało projektodawcy, znosilibyśmy jarzmo z poddaniem się coraz dłużej, aż do zasmakowania w niem.

Nie wiemy, w jakie ciało rząd oblecze wniosek; ale z chwilą, kiedy gorliwiej wejrzy w gospodarkę sądownictwa, zmienimy stare przysłowie na nowsze: ten mistrzem, kto zaczął!

Obiega tu pogłoska, że mistrz, który niedawno zaczął, ma skończyć, czyli, że namiestnik p. Badeni ma ustąpić, czy być zastąpionym przez byłego ministra Ziemiałkowskiego; mimo zapewnień dzienników wiedeńskich, rychłego potwierdzenia w urzędowej gazecie, pogłoska dotąd nie sprawdziła się, lecz ochotnie podawana obiega dalej. Bieglejsi w polityce łączą z tem przypuszczeniem zmianę ministeryum skarbu i według nich p. Dunajewski zostałby namiestnikiem Galicyi; mimo, że w handelkach rozporządzono już teką, zaczekajmy do sprawdzenia się przepowiedni.

Są wyrażenia, których się unika, są choroby, których żydzi za żadną cenę nie nazwą po imieniu, tak i za radbym obejść

wiadomość o pomniku Mickiewicza; lecz skoro nie można uniknąć sprawozdania, obym zdołał je wyrzucić jednym tchem! Komitet donosi, że już ma głowę, tj., że rzeźbiarzowi p. Rygierowi udało się odtworzyć głowę wieszcza według wskazówek komitetu; p. Rygier donosi, że udało mu się otrzymać od komitetu 10,000 złr. jako pierwszą wypłatę z ogólnej sumy 100,000 a naród donosi, że komitet ma myśl ustawienia pomnika wszędzie indziej, tylko nie w rynku. Zanim jeszcze przyjdzie do wojny domowej, Mickiewicza wyklejonego z tektury ustawiać będą na różnych placach miasta, dla wypróbowania, gdzie mu będzie najlepiej „do twarzy.“

Przyjdzie do wojny domowej, tak jak przyszło do niej w sejmie, ścierały się niby to dwa obozy i po obeżywych słowach dwaj posłowie oszpecili sobie wzajemnie powierzchowność, walcząc pod godłem: za waszą i naszą nieroztropność. I gdy słychać lament nad stosem spraw niezałatwionych, nad naglącemi sprawami kraju a dotkniętemi pobieżnie, gdy lud woła sprawiedliwości, chleba i światła, zacietrzewieni posłowie wołają krwi.

Był wniosek o ustanowienie posad lekarzy gminnych; uznając jego doniosłość, oddano referat rektorowi Korczyńskiemu i cóż się stało? Oto po wywodzie, w którym sprawozdawca wykazał jak na dłoni niedostatki i ich następstwa, zabójcze i zwolna podkopujące społeczeństwo, kiedy, sięgając dalej po za miarę referatu, wskazał pośrednie i bezpośrednie przyczyny i środki zaradcze, po tym wywodzie, nad którym dzienniki wszelkich barw unosiły się z zachwytem, wniosek upadł. Upadł, bo był obmyślany dla rzetelnego dobra kraju, bo domagał się nieodzownie pomocy i spółdziałania rządu, który z podobnej instytucyi czerpałby przedewszystkiem korzyści.

Trzeba istotnie być wielkim człowiekiem, aby nie zniechęciwszy się, pracować nadal nad cuceniem zdrowego rozsądku, lojalnie omdlewającego przy każdej sprawie, połączonej z własnym interesem i dobrobytem kraju.

Wybór redaktora *N. reformy* i posła sejmowego p. Romanowicza na członka wydziału krajowego, podziałał orzeźwiająco. *Czas* się rozszlochał. *Przegląd* nawymyślał a *N. reforma* poświęciła sporo miejsca na szereg artykułów, uwydatniających dotychczasową działalność p. R. wraz z odpowiedzią na nieprzychylne uwagi. Zdaniem większości, z pracy p. R. w wydziale krajowym odniesiemy niezawodne korzyści; szczególnie dobrze wróżą przemysłowi domowemu, którego on bywał zawsze rzecznikiem. Mówiąc o przemyśle, notuję, że tkacki rozwija się u nas coraz szerzej i pomyślniej, piękne i dobre wyroby znajdują zbyt w kraju— największy tryumf — a nawet wysyłają je... do Bułgaryi; niedawno Towarzystwo tkackie we Lwowie wykazało 100,000 złr. funduszu obrotowego. Dla poparcia przemysłu krajowego wogólności zawiązało się towarzystwo „Solidarność“ liczące już dotąd znaczną ilość członków.

Towarzystwo opieki zdrowia, które dopiero w tym roku powstało, złożyło już dowody dodatniej działalności; szereg odczytów z dziedziny hygieny, przystępnych a ułożonych w pewien system, ściąga coraz liczniejszą publiczność, rozbudzając zajęcie się sprawą przecież najżywotniejszą a najbardziej dotąd zaniedbaną. Pierwszy wystąpił dr. Jordan, prezes Towarzystwa z wykładem „O wpływie hygieny na długość życia;“ po nim mówił prof. Cybulski „O chorobach zakaźnych,“ doc. Gluziński „O gruźlicy,“ dr. Buszek „O dezinfekcyi.“ Przedstawiając choroby, tłomaczyli równocześnie powstawanie ich, gdzie należało okazywali preparaty i hodowle bakteryj a przedewszystkiem podawali środki zaradcze i zapobiegawcze. Należy życzyć rozwoju Towarzystwu, darząc je uznaniem, na jakie zasługuje.

W ruchliwości i zasłudze nie ustępuje mu Towarzystwo oświaty ludu; na niedzielnych bezpłatnych odczytach widzisz po kilset osób, przeważnie rodziny rzemieślnicze; liczba członków także się wzmaga, niedawno kilkudziesięciu posłów przystąpiło do Towarzystwa ze znaczniejszymi datkami. Trudniej o cielesny pokarm dla ludu; rok nieurodzaju pogrążył włościan, zwłaszcza wschodniej części kraju, w rozpaczliwy stan nędzy. Z powodu braku paszy, nie mogąc wyżywić bydła przez zimę, sprzedawali je za bajecznie nizką cenę; dzisiaj proszą, by wychudzone ich konie brano za darmo i zabito gdzieś, zdala od chaty. Za darmo też, lub za cenę skóry nabywają handlarze po kilkadziesiąt sztuk koni, pędzą w lasy i przywiązawszy biedne zwierzęta do drzew, zabijają a ściągnąwszy skórę, zostawiają resztę na łup ptactwa. Wygłodzone i zmarznięte, na pół żywe zwierzęta, wyczekują nieraz w lesie kilka dni na śmierć z rąk handlarza.

Rozpacz; stosunki zdrowotne jak najgorsze, ludność zaczyna żywić się tem zepsutem mięsem, a konie, podstawa gospodarstwa rolnego, zmarnowane; skarb państwa przyszedł z pomocą, udzielając 600,000 złr. bezprocentowej pożyczki a 300,000 złr. zapomogi bezzwrotnej, fundusz krajowy dodał 300,000 złr. i rozdzielił zasiłki za pośrednictwem wydziałów powiatowych, zachowując 280,000 złr. na potrzeby wiosenne roku przyszłego. Zwrócono się do ministra skarbu z żądaniem zniżenia cen soli dla bydła i odroczenia spłaty podatków, bo zasiłek rządu, chociaż znaczny, ale wobec ogromu nędzy i obszaru zaledwie uchroni od śmierci głodowej.

Idźmy do dalszej nędzy.

Oto od nowego roku ma wychodzić pismo p. t. *Tygodnik urzędowy c. k. starostwa w Gorlicach.*“ Numer próbny przedstawia się jako okaz dotąd niebywały. Na wstępie znajduje się „zaproszenie do przedpłaty,“ gdzie czytamy, że *Tygodnik* zawierać będzie „stosowne do ogłoszenia rozporządzenia, wyśledzenia i obwieszczenia c. k. starostwa, republikować ustawy i rozporządzenia władz wyższych i instrukcyi, przyjmować także będzie ustawy i edykty.“ Podpisano: c. k. starosta Bańkowski. Czytajmy dalej: „Powołując się na powyższe zaproszenie: *zalecam zaprenumerowanie* wychodzić mającego od Nowego roku *Tygodnika urzędowego.* W razie doprowadzenia do skutku niniejszego wydawnictwa, zamierzam *w sasadzie wstrzymać* wysyłanie autografowanych okólników. *Tygodnik* uważanym przeto *być musi* jako pismo urzędowe, i *jako taki* (?) *pilnie i uważnie* czytany i starannie przechowany, gdyż w późniejszych rozporządzeniach powoływać się będzie (kto?) na ten numer, w którym dotyczące polecenie urzędowe, względnie obwieszczenie, wydano. Jeżeli na skutek ogłoszonego w *Tygodniku* polecenia, sprawozdanie do c. k. starostwa ma być przedłożone, to należy oprócz daty i liczby polecenia *powołać także numer Tygodnika,* w którym odnośne polecenie ogłoszono.“ Podpisano: c. k. starosta B.

Kwiateczki aż się proszą uszczknięcia — zrywam tylko kilka: „Z powyższego przekona się każdy, jak wysokiemu rządowi i sejmowi leży na sercu dobro ludności włościańskiej, nie mniej uczyniły swą powinność władze powiatowe, tj. c. k. starostwo i wydział powiatowy, które dla tutejszej ludności wyjednały powyższą stosunkowo bardzo *wydatną ilość pieniędzy i soli dla bydła!!...*“ „W celu zapobieżenia przerwom w komunikacyi, wzywam zwierzchności gminne, ażeby każdym razem usunięciu zasp śnieżnych z dróg komunikacyjnych natychmiast *zarządzone a względnie wykonane zostało.*“

Ograniczając się na dosłownych wyjątkach, dających miarę tego, co u nas można zrobić, dodaję, że gminy, obszary dworskie, szkoły, mają otrzymywać okólniki władz politycznych bezpłatnie i nie można żadną miarą przymusić ich do ponoszenia kosztów wydawnictwa, bez którego obejść się mogą.

Wobec *Tygodnika* bledną dowcipy kalendarzów na rok nowy.

Może to nawet lepszy dowcip, niż ten, na jaki zdobył się *Kuryer warszawski* w smutnej chwili pogrzebu Żółkowskiego; oto w spisie wieńców nadesłanych na trumnę, czytamy pod numerem 7: „*Aloizemu Żółkowskiemu — Scena krakowska* (bardzo piękny, duży wieniec przywieziony z Krakowa przez dyrektora teatru p. Glicksona).“ Spis obejmował 39 wieńców a żaden więcej nie miał komentarza redakcyjnego, z wyjątkiem tego, bardzo pięknego, dużego wieńca z pod siódmego numeru.

Przyjemne chwile zawdzięczamy p. Pławińskiej, pianistce z Warszawy, udział jej w wieczorze Towarzystwa muzycznego przyczynił się do miłego urozmaicenia programu; znawcy podnoszą i wyszczególniają zalety jej gry, wielkie zrozumienie delikatnych odcieni i wdzięk w wykonaniu.

Noworocznem życzeniem zamykam list.

Mor.

SPRAWY EKONOMICZNE.

DŹWIGNIA NASZEJ WYMIANY.

Dążność towaru do torowania sobie dróg w możliwie najrozmaitszych kierunkach, do zakreślenia przezeń w czasie wędrówki najdalszym promieniem kół, jest następstwem nieodłącznem, tkwiącem w naturze dzisiejszej gospodarki. Nasz kapitalizm ujawnia także tę dążność. Towar przemysłu polskiego dociska się również do rynków odległych, usiłuje wywalczyć sobie miejsca zbytu na dalekim wschodzie. Dotychczas jednak koryfeusze naszej wielkiej produkcyi stąpali po omacku, puszczali swoje wytwory na los szczęścia, powierzali je fali wymiany prawie w ten sposób, jak rozbitek odludnej wyspy poleca bałwanom morskim butelkę z listem wewnątrz dla nieznanych ludzi, dla obcego brzegu... Szerokie uświadomienie potrzeb rynku i zbiorowa działalność w kierunku wytworzenia stałych i prawidłowych odpływów wymiany towarowej — oto są cechy do nabycia przez nasz wywóz. „Nie posiadamy ani dokładnej wiadomości o tem, co na wywóz zaofiarować możemy, ani o tem, co temu wywozowi na przeszkodzie w miejscowych warunkach staje; jeżeli zaś znane nam są te przeszkody, to z powodu braku odpowiedniej instytucyi nie czynimy żadnych kroków, które miałyby na względzie usunięcie przeszkód; nie wiemy nic pewnego o warunkach zbytu na dalszych rynkach zamiejscowych i z bliższych nawet nie posiadamy dokładnych wiadomości, które ujawnionoby dla ogółu handlujących przemysłowców. Bardzo niewiele również usiłowań zrobiliśmy w tym celu, ażeby poznać gust i charakter zażądania odbiorców zamiejscowych, a na wzorach cudzych towarów, które w miejscach zbytu cieszą się największym pokupem, nie kształciliśmy naszej wytwórczości wcale.“ Taką sobie zdaje sprawę z położenia *Gazeta handlowa,* organ warszawskiego kupiectwa— jasno i krótko.

Żeby temu stanowi rzeczy zapobiedz, oddział warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, na mocy uzyskanego pozwolenia władzy, zamierza otworzyć w Warszawie „Stałą wystawę prób i wzorów towarów eksportowych.“ I w tym, jak w wielu innych razach, zwrócono się po modłę do zachodnio-europejskiej kultury, naszej mistrzyni odwiecznej: projektowana wystawa wywozowa będzie powtórzeniem dobrze wypróbowanych za granicą t. z.

„Export-Musterlager,“ rozsianych po ośrodkach przemysłu. Pozakładano je we wszystkich ważniejszych punktach handlowych w Anglii, Francyi, Niemczech itd. Zadaniem ich tam jest wzmożenie wywozu. Stała wystawa prób i wzorów towarowych osiąga swój cel przez to, że pozwala kupcom zamiejscowym ogarnąć całokształty produkcyi wywozowej, ułatwia im wybór w wytwórach i, ponieważ przy „Eksport-Musterlagerach“ istnieją zwykle biura wywiadowcze, powiadamia wywozowców o stanie rynków odległych a nadto usuwa pośrednictwo pomiędzy wytwórcami i spożywcami rozdzielonymi wielką przestrzenią i uniemożliwia zbyt tandety, dyskredytującej cały wywóz, jednem słowem, łatwość wyboru najlepszego i najtańszego towaru doprowadza do ustalenia stosunków handlu wywozowego. Za granicą takie wystawy eksportowe są łączone z towarzystwami wywozowemi. Korzystając z nadesłanego nam przez Towarzystwo popierania przemysłu i handlu regulaminu rzeczonej wystawy, postaramy się czytelników *Prawdy* zaznajomić z jego przepisami.

Celem wystawy jest współdziałanie rozwojowi wywozu i zapobieganie zbytowi tandety. Uczestnikiem jej może być każda firma albo osoba prawna, opłacająca 20 rs. rocznie, o ile towary wystawione uznane będą za zdatne do wywozu. W pierwszym roku pobieraną będzie dodatkowa opłata w stosunku 5 rs. za metr kwadratowy na koszty urządzenia. Opłata poniżej 20 rs., chociażby wystawca zajmował przestrzeń mniejszą niż 1 metr kwadr., pobieraną nie będzie (?). Oto szereg taks wystawowych: za 1 metr kw. podłogi 20 rs., za 1 metr kw. powierzchni ściany 15 rs., za 1 metr kw. pulapu— 10 rs. Za składkę 20 rs. od metra kwadratowego podłogi wystawca nabywa prawo do korzystania z usług biura informacyjnego bezpłatnie oraz zajmowania w katalogu wystawowym 6 wierszy. Opłata będzie wnoszoną za cały rok z góry w pierwszym miesiącu po otwarciu wystawy. Zarząd jej żadnych operacyj handlowych nie dokonywa, co zresztą tkwi w jej zadaniu zapoznawania kupców zamiejscowych z wytwarzaniem krajowem za pośrednictwem prób i wzorów przemysłu. Z wyjątkiem materyj wybuchowych i podległych zepsuciu, wystawa przyjmuje wszelkie wyroby przemysłu miejscowego wywożne (zdatne do eksportu): we wzorach, próbach, fotografiach, rysunkach, albumach itd., jak również cenniki, katalogi, reklamy itp. Okazy znajdą pomieszczenie w szafach i szafkach oszklonych, sporządzonych i ustawionych staraniem zarządu, za zwrotem kosztów przez wystawców. Porządek umieszczenia okazów zależy wyłącznie od zarządu wystawy. Odpowiedzialność za całość okazów i zabezpieczanie ich od ognia spoczywa na zarządzie. Co do swych części jawnych wystawa dostępną jest dla publiczności za każdorazową opłatą 20 kop. od osoby; co zaś do przedmiotów nie do ujawnienia dla ogółu, będą one dostępne tylko dla osób „dostatecznie wylegitymowanych.“ Żądania wystawców zachowania tajemnicy odnośnie do pewnych szczegółów dotyczących okazów będą ściśle przestrzegane. W katalogach wystawy znajdzie się dział ogłoszeń. Opłata za nie pobieraną będzie w następujących stosunkach: za stronicę — 25 rs., za połowę stronicy—15, za ćwierć— 8, za każdy wiersz ponad 6 bezpłatnych wystawca dopłaca 25 kop. Kierownictwo wystawy spoczywa w ręku zarządu warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, osobnego zarządzającego i delegacyi pomocniczej. Ostatnia czuwa nad ścisłem wykonywaniem przepisów wystawy przez zarządzającego, ułatwia mu wyszukiwanie korespodentów, sprawozdawców itp. Wystawa zostanie otwartą niezwłocznie po zebraniu potrzebnej do pokrycia kosztów ilości deklaracyj. Te ostatnie mogą być składane na ręce p. Tadeusza Zaleskiego, któremu zostało powierzone prowadzenie spraw wystawy.

Jeśli ta nowa zamierzona u nas instytucya wykluje się pomyślnie i w swym rozwoju nie napotka po drodze pokrewnych, lecz silniejszych dążności ku temu samemu celowi, to wymiana nasza pozyska doniosłą dźwignię, a zarazem kapitalizm nasz—stalszy bodziec. Wtedy może się nie powtórzą już sławne wysyłania na Wschód plew — butów z podeszwami papierowemi, zamiast czołowych ziaren — towarów uczciwych.

Zyg. Atanazy.

BADANIA NAUKOWE.

NEWROZA I PESYMIZM.

Co to jest newroza? Co to jest pesymizm? Sądzę, że na pierwsze pytanie większa część czytelników odpowie: nie wiemy; za to na drugie wszyscy jednogłośnie zawołają: wiemy. I nic w tem dziwnego. Wyraz newroza jest nowy i tak rzadko bywa u nas używany, że nie mieliśmy jeszcze czasu oswoić się z nim do tyla, byśmy go mogli spotykać jak starego znajomego; inaczej rzecz ma się z pesymizmem. Spotykamy się z nim co dnia w druku i w mowie potocznej, używamy go sami, ile razy zachodzi potrzeba. Moglibyśmy go nie znać, nie wiedzieć, jakie jest jego znaczenie!? Nie przeczę, że o znaczeniu tego wyrazu każdy z nas coś wie, tyle przynajmniej, ile tego potrzeba na codzienny użytek. Nie o to atoli mi chodzi. Zapytuję tu, czy wielu wśród nas jest takich, którzy wiedzą dokładnie, co stanowi istotę pesymizmu, na czem on polega i jaka jest jego przyczyna. Otóż na postawione w ten sposób pytanie odpowiadam bez wahania: takich, którzyby umieli dokładnie zdać sobie sprawę z tego, jest bardzo niewielu. Niech to moje twierdzenie większości czytelników nie gniewa. Niema w niem nic tak bardzo upokarzającego dla nich. Jeżeli bowiem oni nie wiedzą, czem jest pesymizm, to również nie wiedzą bardzo często i ci, którzy zabierają się do pisania o nim — dla nauki innych. Jaskrawym tego dowodem jest wydany w tłomaczeniu polskiem odczyt francuskiego lekarza, A. Deschamps, pod tytułem, wypisanym w nagłówku niniejszego artykułu.

Autor owego odczytu, przerażony postępami w swym kraju pesymizmu, który z każdym dniem niemal cozaz bardziej się rozpowszechnia, postanowił zabrać głos, ażeby dać poznać rodakom, jakiej jest natury grożące im niebezpieczeństwo i z której strony godzi ono na nich. A ponieważ pesymizm łączy się z newrozą, więc mówiąc o tamtym, i o tej postanowił kilka szczegółów udzielić, ile to potrzebnem mu się wydało dla zapoznania z nią słuchaczów.

Z pewnością, że nigdybyśmy się nie dowiedzieli o istnieniu p. Deschamps i o tem, że gdzieś, kiedyś miał on odczyt o pesymizmie, gdyby nie p. L. W. — tłomacz.

Zaraz na wstępie upewnia nas prelegent uroczyście, że newroza i pesymizm są tak rozpowszechnione w naszej dobie, iż należy je uważać za wyłączną właściwość końca XIX wieku. Były one wprawdzie znane i dawniej, ale nigdy w takim stopniu, jak obecnie. Zdenerwowanie, brak woli i zniechęcenie do życia — to są znamiona, cechujące zarówno jednostki, jak całe masy.

Przez newrozę medycyna rozumie całą grupę chorób nerwowych, których przyczyna nie jest znaną, gdyż dotąd towarzyszące im zmiany anatomiczne nie zostały wykryte. Do takich chorób zaliczyła newropatyę, zdenerwowanie i hypnotyzm. Od ukazania się w druku odczytu dr. Deschamps newropatya przestanie być zaliczaną do newrozy, albowiem autor wykazał nareszcie, jakie są zmiany anatomiczne, które tej chorobie towarzyszą. Newropata podług niego odznacza się tem, że ma *nerwy cienkie, jak niteczki.*

Przejdźmy teraz do pesymizmu.

Wiadomo, że pesymizm oznacza wzgardę życia, zniechęcenie, wstręt do niego, wiodący nieraz do samobójstwa. Jakież są przyczyny jego rozpowszechnienia się w naszych czasach? Bywają wielorakie, powiada autor; najważniejszą z nich przecież, a nawet główną, są doktryny filozoficzne Darwina, Milla i Spencera, których wpływ, zabijając wiarę w ideały, odziera życie z uroku i czyni z niego farsę, niezasługującą na to, by się o nią troszczyć i okupywać cierpieniami. Dzięki tym doktrynom, tudzież wielu innym okolicznościom podrzędnej wagi, pesymizm tak daleco owładnął umysłami żyjące pokolenia, że słusznie można się trwożyć o przyszłość całej ludzkości. Ta bowiem jej część, która w swem ręku dzierży pochodnię oświaty, stacza się w szalonym pędzie po stromej pochyłości — w nicość!.. Uspokójmy się jednakże! Tak źle jeszcze nie jest. Niebezpieczeństwo groźne; ale istnieje lekarstwo na nie. Znajduje się ono tam, gdzie leży źródło złego — w doktrynie Darwina, która ma tę samą własność, jaką ongi posiadała dzida Achilesowa, co jednym końcem zadawała rany, drugim je goiła.

„Teorya Darwina — są słowa autora — orzekając, że człowiek jest tylko poddanym sił przyrody, jest przyczyną pesymizmu, lecz zarazem i lekarstwem nań. Zasmuca ona, gdy stosujemy ją do życia moralnego jednostki, lecz podnosi, gdy chodzi o utrzymanie gatunku. Wiadomo bowiem, że w ewolucyi gatunków przyszłość będzie udziałem energicznych, nieobawiających się żadnego wysiłku, śmiało dążących do walki o byt, słowem, do ludzi z wolą.“

Ma to znaczyć, że wszyscy wyznawcy doktryn Darwina, Milla i Spencera wyginą w walce o byt, a pozostaną przy życiu tacy tylko, dla których *przeczucie absolutu i wiara w coś tajemniczego, przewyższającego wszelką wiedzę, jest konieczną potrzebą duszy.* Pozostaną słowem tacy tylko, jak prelegent francuski — i od nich to rozpocznie się nowa era dla ludzkości, szczęśliwej, zadowolonej z siebie i dziękującej Bogu, że ją uwolnił raz na zawsze od tak zgubnych nauk, jak darwinizm, który, wykrywając przyrodzone prawa natury ludzkiej, pozbawia człowieka tego błogiego o sobie przekonania, że należy mu się w świecie uprzywilejowane stanowisko.

Nie jestem tak naiwny, ażebym przypuszczał, że głos mój dojdzie uszu francuskiego prelegenta, mogę jednakże spodziewać się, że tłomacz jego polski czytuje *Prawdę*; dla niego też załączam powyższe uwagi nie dlatego, żebym przypuszczał, iż z niemi nigdy się nie spotykał, ale dlatego, że uważam za potrzebne przypomnieć mu to, o czem może zapomniał.

Że w naszych czasach wiele jest ludzi, zarażonych pesymizmem i zdenerwowanych, spierać się o to nie myślę; utrzymuję tylko, że daleko więcej jest próżniaków, którzy nic nie robią nie dlatego, żeby byli zdenerwowani, ale dlatego, że im tak wygodniej, a nareszcie głupców, którzy przybierają miny zniechęconych do życia, chociaż to życie bardzo troskliwie ochraniają i unikają wszystkiego, coby mogło mu zagrażać niebezpieczeństwem.

Zgadzam się również i na to, że w ostatnich latach pesymizm i zdenerwowanie stały się chorobami bardziej grasującemi, niż przedtem, ale stanowczo przeczę, by nasza doba stanowiła pod tym względem wyjątkowe zjawisko w dziejach świata, żeby pesymizm nigdy nie był tak rozpowszechniony, jak w naszych czasach. Przeczę także i temu, żeby główną przyczyną pesymizmu miały być doktryny Darwina, Milla i Spencera. Na poparcie swych zaprze-

czeń przytaczam fakty, które znane są każdemu, kto wyniósł ze szkół jaką taką znajomość dziejów powszechnych.

Najpierwszym apostołem pesymizmu był Budda, żyjący w Indyach na pięćset lat z górą przed erą chrześciańską. Nauczał on o nicości bytu i za najwyższy cel człowiekowi stawiał zlanie się za życia z Nirwaną, zatarcie w sobie wszystkich cech ludzkiej istoty. Wyznawców jego liczono na miliony — i do dziś dnia większa część ludów azyatyckich należy do tej religii. W Europie zaś dobą, w której pesymizm przybrał był największe rozmiary, była epoka upadku państwa rzymskiego i pierwsze wieki chrześciaństwa. Pogarda dla życia była wtedy powszechną nietylko u pogan, ale i u chrześcian, jakkolwiek u jednych i u drugich z odmiennych powodów.

Poganie, znalazłszy się na rozdrożu między wiarą starą, do której powrócić nie mogli, gdyż dla ich umysłu wyrafinowanego była ona zanadto naiwną, a nową, do której przystąpić nie chcieli, gdyż była dla nich za surową i nie zgadzała się z ich pojmowaniem życia, ujrzeli się nagle bez żadnego celu, któryby ich chęciom, nadziejom i dążnościom nadawał jakiś oznaczony kierunek. Życie ludzkie, sprowadzone do powszednich spraw, pełne trosk i zawodów, musiało im wydać się najgłupszą farsą, w której to tylko ma jakąś wartość, co pozwala człowiekowi choćby na chwilę zapomnieć o niej. W bachanaliach, w szale i upojeniu szukali lekarstwa na trawiącą ich dusze czczość wewnętrzną, wyuzdaną rozpustą tłumili w sobie rozwagę, dopuszczając się w ten sposób samobójstwa moralnego.

W tym samym czasie chrześcianie, zachwyceni widokiem żywota wiecznego i spragnieni jego szczęśliwości, patrzyli na życie doczesne jako na zawadę, którą jaknajspieszniej należało przebyć, nie mogąc się jej pozbyć. Do tego celu posłużyło prześladowanie pogan, wywołane przez samychże chrześcian. Dobrowolne narażenie się na prześladowanie i szukanie śmierci stało się między chrześcianami tak powszechnem, że Kościół, pragnąc powściągnąć ten rodzaj samobójstwa, był zmuszony zagrozić klątwą tym wszystkim, co za pomocą pogan usiłowali dostać się jaknajprędzej do królestwa niebieskiego. Podobnymże rodzajem samobójstwa, a przynajmniej protestacyą przeciwko życiu doczesnemu, jako marności nad marnościami, było pustelnictwo. Całe tłumy pobożnych, zrywając wszystkie węzły życia, wyrzekając się wszelkich korzyści i obowiązków społecznych, podążały na pustynie, ażeby w głuchem osamotnieniu pędząc żywot ascetyczny, zaświadczyć głęboką wzgardę dla życia.

Fakty powyższe, że pominę bardzo wiele innych, dowodzą w sposób niezbity dwóch rzeczy: najprzód, że przyczyną pesymizmu nie jest ta lub owa doktryna, to lub owo przekonanie, ale brak jakiegokolwiekbądź przekonania, ale jałowość myśli i próżnia serca niezdolnego do uczuć wyższych. Nie mówię o tych wypadkach, w których pesymizm bywa następstwem choroby nerwowej. Powtóre, że jeżeli jakie doktryny mogą nawet w pewnych razach natchnąć wstrętem do życia, to wyłącznie te tylko, które znarawiając myśl do bujania po mglistych sferach marzycielstwa, czynią ją obcą dla zwykłych spraw życia, roztaczając przed fantazyą szczytne ideały, niedające się osiągnąć w rzeczywistości, rozbudzają w sercu dla tej rzeczywistości wzgardę i lekceważenie wszystkiego, co niezdolnem jest wznieść się nad poziom ludzkich trosk i usiłowań.

Nie jest mojem zadaniem zaciekać się w dochodzenie przyczyn, które nadały taką przewagę pesymizmowi w usposobieniu żyjącego pokolenia; nadmienię tylko, że jeżeli gdzie ich szukać mamy, to przedewszystkiem w dzisiejszym militaryzmie, który od tylu lat wyczerpuje społeczeństwa europejskie z najżywotniejszych soków i trzymając ciągle nad ich głowami zagniewany miecz Damoklesa, pozbawia je spokoju, nie dając pewności jutra. Zresztą pamiętać trzeba, że doba obecna jest chwilą przesilenia, w której to wszystko, co żyło dotąd duchem średnich wieków, podtrzymywane ciemnotą i przesądem, stanęło do walki na śmierć i życie z nowemi zapatrywaniami, pragnieniami i dążnościami. W rozgwarze tej walki nie zawsze można dosłyszeć wyraźnie rozgłaszane hasła. Stąd niepewność u wielu, po której stronie stanąć — niepewność, która trwając długo, wyradza zniechęcenie, stanowiąc istotę pesymizmu.

Władysław Kozłowski.

HISTORYA.

J. F. Gajsler, *Rys dziejów czeskich*, tom I. 1889.

Pomijamy wstęp, zawierający wiadomości z geografii, geologii, statystyki, administracyi i etnografii przeszłej Czech. Ostatnia jest niepewną, lubo wiadomo, iż kraj ten zajmowali bojowie, markomanowie i kwadowie (v. rattowie, jak ich nazywa historyk kościelny, Euzebiusz Cezarejski, z czasów Konst. W.). Pomijamy nadto rozdział o słowianach, ich ugrupowaniu geograficznem, ustroju itp. dane, które poczerpnąć możemy tylko ze źródeł kronikarskich niezbyt pewnych, a nadto częstokroć wzajem się wyłączających. Pojęcia nasze o religii słowian również należą do mętnych, jakkolwiek mnóstwo mamy o niej wzmianek, a nawet i studyów; badania bowiem tego rodzaju przedstawiają nader dla dyletantów wdzięczne pole, pozwalają pušcić wodze fantazyi, nieokiełznanej wymaganiami systematycznego wiaroznawstwa.

P. Gajsler z dziejami przedchrześciańskiemi i bajecznemi załatwił się krótko i dość szczęśliwie, tłomacząc się nieistnieniem pracy, poświęconej hypotetycznej historyi Czech w literaturze naszej. Właściwe dzieje Czech autor podzielił na 5 okresów: przed-chrześciański, przed - husycki, husycki, białogórski (do 1780) i Odrodzenia. Nie znam motywów autora, a tem bardziej nie wiem, o ile w dalszych tomach je uzasadni i przeprowadzi; ale z tego, co mam pod ręką i z przebiegu samychże dziejów sądzę, iż należałoby je podzielić na trzy okresy. Ponieważ pierwszy nie stanowi jądra historyi narodu i państwa, ani też nie występują w nim właściwości, odróżniające epokę przedchrześciańską od czasów, gdy chrześciaństwo stało się dopiero pozłotą i alembikiem państwowym, przeto połączyć ją można z okresem drugim i w ten sposób otrzymalibyśmy jeden — jak autor nazywa — przedhusycki. Pohusycki znowu nie jest tak dalece oddzielony od białogórskiego, ażeby nie można było choćby połowy ostatniego nie odnieść do czasów husyckich, zwłaszcza, iż ferment sekciarski nie przestał istnieć pod władzą jezuitów, jak świadczy rozkaz Maryi Teresy, a więc jeszcze przed Odrodzeniem, połączenia się kacerzów z któremkolwiek uprawnionem przez państwo wyznaniem. Koniec zaś okresu białogórskiego łączy się z epoką Odrodzenia: pojawia się język czeski w szkole i teatrze. Taka redukcya okresów może w dziele wyłącznie dla specyalistów przeznaczonem byłaby nie na miejscu, ale w *Rysie* miałaby dodatnią wartość dydaktyczną. Lecz jest to ostatecznie sprawa autora, zwłaszcza iż on sam ukarze się kłopotami, jakie przy dalszym układzie swej pracy z natury poprzedniego podziału poniesć musi.

Dzieje Czech są właściwie dalszym ciągiem historyi rozmaitych księstw — jak W. Morawy, Pragi, Dol. Łużyc itd., skupionych razem wskutek ciągłych wewnętrznych walk rodu Przemysła. Na połączonym w ten sposób tronie zasiadł Otokar I (około 1200 r.); od tego też czasu rośnie idea dziedziczności. Cały ten okres — od Borzywoja aż do Otokara — p. Gajsler wypełnił opowiadaniem walk rodowych, wplatając w nie wypadki z Niemiec i Węgier, przez co w głowie czytelnika powstaje chaos. Przeciąg czasu powyższego autor opatrzył w uwagi społeczno-prawne, które, zwłaszcza szczegóły administracyjne, są zazbyt w niektórych miejscach drobiazgowe. Dobrze natomiast uczynił, że w ustępach o kościele nie poszedł torem utartym; wspominając bowiem np. o śś. Cyrylu i Metodym, nie widzi w nich — i słusznie — propagatorów pewnego programu słowianofilskiego, o którym w owym czasie nikomu się nie śniło; nie była to bowiem walka germanizmu ze słowiańszczyzną, ale zwykły zatarg administracyjno - finansowy duchownych tej lub owej jurysdykcyi. Historykowi nie wolno uprzedzać wypadków, nie wolno mu mówić o ideach narodowości i szczepowości tam, gdzie świadomość tych czynników nie istniała. Dopiero XVIII w. idee owe rozwijać począł.

Podobnież słusznie postąpił autor, iż nic nie wspomniał w w. IX lub X o rękopisie królodworskim, a z czego mu krytycy czynią zarzut, nie wiedząc, iż rękopis ten należy do w. XIX, jako przez Hankę w latach 1817—1819 sfałszowany. O tem, sądzę, każdy sprawozdawca wiedzieć obowiązany, zwłaszcza wobec niedawnego w tej sprawie wyroku prof. Gebauera z Pragi i innych powag w slawistyce *).

Następne rozdziały poświęca autor wzmaganiu się monarchizmu, a upadkowi usilnie starającego się utrzymać na swych podstawach możnowładztwa. Zjawisko to jest nader ciekawem, szkoda tylko, że p. G. należycie go nie wyzyskał, nie zbadał, dlaczego fakt ten nie miał analogicznego w dziejach Rzeczypospolitej, jakkolwiek i u nas zdawaćby się mogły pomyślniejsze ku temu warunki, z braku feodalizmu i innych podstaw arystokracyi i szlachty. Natomiast p. Gajsler czyni zbyteczną uwagę w końcu rozdziału o wygaśnięciu Przemysłowiców (1306) w osobie Wacława III: „Zgon Wacława III ugruntował w Polsce panowanie Wł. Łokietka itd.“

Czasy późniejsze, tj. panowanie Rudolfa Habsburga, Henryka Karynckiego, Jana Luksemburczyka nie przedstawiają nic godnego uwagi, chyba to, że ostatni nadał swobody szlachcie i mieszczanom (1310 r.) i ciągłe Luksemburczyka z Ludwikiem Bawarskim i Habsburgami (Leopold Mocny) spory dyplomatyczne i wojenne. Na ten czas przypadają napady krzyżaków na ziemie polskie, oraz bitwa pod Płowcami. Winienem tu sprostować drobny błąd historyków, którzy każą w chwili bitwy pod Płowcami i udania się Jana do Głogowy królewicowi Karolowi znajdować się na przeszpiegach w Kaliszu, kiedy on rzeczywiście był w Parmie.

Mówiąc o literaturze czeskiej z XIV w. i poprzednikach reformy husyckiej, Konradzie Waldhauserze i Tomaszu ze Sztitnia, autor nie wyczerpał przedmiotu tak, jak należało ze względu na zrozumienie dalszego procesu religijnego, który nie był wcale reakcyą przeciw germanizmowi, z powodów, o których wyżej mówiłem, lecz objawem tak kosmopolitycznym co do zakresu, jak katolicyzm zachodni lub wschodni. Co do literatury zaś, nie wspomiał o Glossach w dziele Grzegorza, stanowiących ważny przyczynek do dziejów języka czeskiego, ze względu na formy jakoby starosłowiańskie.

Przechodząc do czasów bezpośrednio wyprzedzających pojawienie się Husa, autor *Rysu* zastanawia się nad Wiclefem, nad podatnością gruntu w Czechach dla teologa

*) Sprawa ta jest szczegółowo czytelnikom znana z artykułu p. J. Karłowicza. *Red.*

angielskiego, którym to gruntem była emancypacyjna dążność Luksemburczyków od wpływów klerykalnych. Wszystko to w porządku, tylko że p. G. znowu pogrąża się w drobiazgi i popełnia błędy. Mianowicie mówi o Stefanie z Wrocławia (1398 r.), „który w sakramencie (jakim?) uznawał tylko własność leczniczą, odmawiając mu dogmatyzmu (!) (samo przecież uznanie własności leczniczej jest dogmatyzmem).“ Tak, o ile wiem, Stefan nie twierdził, lecz tylko, że w sakramencie ołtarza tkwi sakrament, tj. łaska, niema zaś transubstancyacyi (autor nazywa to mylnie transubstancyą).

Zbliżamy się ku końcowi—do Husa. Autor mówi o tej epoce w sposób znany a ponieważ dopiero po śmierci reformatora znajduje ona swe rozwinięcie, przeto zamykamy sprawozdanie, życząc autorowi niezrażania się w dalszej pracy głosami nieprzyjaznej krytyki.

INFLUENZA.

Choroba ta, która z niezmierną szybkością ogarnęła już dziś całą prawie Europę, a ze szczególnem upodobaniem chwytała lekarzy, pozostała dla nich, a więc i dla ogółu zjawiskiem tajemniczem, pomimo że nawiedza świat cywilizowany nie po raz pierwszy. Według wydanej wr. 1833 (w Berlinie) broszury *Die Grippe oder Influenza*, którą sobie teraz przypomniano, zagadkowa ta epidemia ukazywała się w rozmaitych czasach i krajach pod najrozmaitszemi nazwami, jako gorączka-włoska, anguinaglia, ladendo, koklusz, malum castronis, kaszel owczy, grypa itd. O ile zaznaczono jej ślady, wystąpiła osiem razy w szerokich rozmiarach. Wspominało niej już Tucydydes (412 r. przed Chr.); w r. 590 z Włoch, Francyi i Hiszpanii rozszerzyła się po całej Europie, napadając ludzi i zwierzęta. W wielu wypadkach działanie jej było śmiertelnem, tak, że gdy papież Grzegorz dla odwrócenia jej urządził w Rzymie uroczystą procesyę, według świadectwa pisarzów współczesnych, 80 osób zmarło nagle śród gwałtownego kichania. Stąd miał powstać ludowy zwyczaj życzenia przy kichaniu: „Boże dopomóż,“ lub coś podobnego *). Następnie epidemia powszechna wybuchła w latach: 1386 (zaledwie 10% pozostawało niedotkniętych), 1580, 1610, 1647 (w Europie i Ameryce), 1729 (z Rosyi błyskawiczną szybkością przeleciała choroba aż do Meksyku), 1732 i 1782 (z Chin przez Syberyę do Rosyi i całej Europy; w samym Petersburgu chorowało 40,000 osób). Epidemie influenzy częściowe i miejscowe ukazywały się w latach; 827, 876 (Włochy i Niemcy południowe), 1327 (niektóre okolice Włoch), 1403 (Paryż, ale bardzo gwałtowna), 1411 (także Paryż — chorowało 100,000 osób), 1655, 1742—4, 1799—1800, 1802—3, 1831 i 1833 (Rosya i Niemcy południowe). Istota tej choroby była wówczas, jak i dziś, nieznaną. Przypisywano ją morzu, ziemi, wulkanom, nadmiarowi lub brakowi elektryczności w powietrzu, nawet ciałom niebieskim. Trwała zwykle od 3—5 dni z małą śmiertelnością, ale często po kilku miesiącach z rozedmą płuc.

Obecnie, zdaje się, ominęła tylko kresy północy i południa (Włochy z Hiszpanią, Szwecyę i Norwegię), Natomiast przebiegając do Ameryki, objawiła się śród podróżnych na okrętach Atlantyku.

U nas rozszerzyła się nadewszystko w Warszawie, gdzie rzadko kto jej nie uległ. Szkoda, że dla ocenienia jej rozmiarów nie sporządzono odpowiedniej statystyki. Dr. T. Dunin, który influenzę obserwował i sam przeszedł, tak ją opisuje w *Gazecie lekarskiej*:

„Chory, dotychczas zupełnie zdrów, dostaje nagle bardzo silnego dreszczu, który trwa kilka, a czasami nawet kilkanaście godzin, dreszcz w ciągu choroby powtarza się niekiedy kilka razy, a czasami proste odkrycie ciała wystarcza dla wywołania go. Jednocześnie chory uczuwa silny ból głowy, ból krzyża i nóg, a mianowicie przedniej powierzchni ud; ucisk na mięśnie zwiększa ból. Bóle te bardzo prawdopodobnie zależą od zapalenia najdrobniejszych gałązek nerwowych, niekiedy bowiem spotykamy zajęcia dużych pni, w postaci zupełnych nerwobolów: widziałem, a właściwie odczuwałem na sobie nerwoból kulszowy, oraz nerwoból nerwu łokciowego. Ciepłota podnosi się odrazu do bardzo wysokich stopni, nieraz 40° C. i więcej. Śledziona nie bywa nigdy powiększona. Powyżej wymienione objawy, tj. nagły początek choroby, dreszcz, gorączka, ból nóg, krzyża i głowy są najstalszymi objawami. Trwają one bez przerwy 24 godzin; drugiego dnia ciepłota zaczyna się zniżać, chory się trochę poci, bóle słabną, trzeciego dnia zazwyczaj ciepłota opada, chory czuje się zupełnie dobrze, a czwartego podnosi się z łóżka zupełnie zdrów; niekiedy tylko pozostaje osłabienie i uczucie obolenia i zmęczenia w mięśniach; chorzy powiadają, że mają uczucie, jakby im ktoś dał po kilkudziesiąt batów. W lżejszych przypadkach choroba trwa półtora dnia, dzień jeden, a niekiedy nawet tylko kilkanaście godzin. Zawsze kończy się ona obfitymi potami. Takim jest najczęstszy obraz. Niekiedy nadto w początku choroby widywałem dość uporczywe wymioty i nudności, które dokuczały przez cały czas trwania choroby; dość częstym objawem bywa kaszel i rozlegly nieżyt oskrzeli, który wtedy nie pokazuje sie zaraz z początku choroby, ale drugiego lub trzeciego dnia i trwa niekiedy bardzo uparcie czas jakiś po przejściu gorączki i innych objawów. Zajmuje on i drobne oskrzela, a wtedy przy wysłuchiwaniu znajdujemy w dolnych częściach płuc świsty i rzężenia wilgotne. Dość często, choć bynajmniej niestale, spotykałem nieżyt nosa, a o wiele rzadziej łzawienie i ból w oczach, i ból oraz zaczerwienienie gardzieli.“

Naturalnie leczenie choroby tak zagadkowej może być tylko próbowaniem rozmaitych środków — eksperymentacyą. Jedni — podobno z powodzeniem — stosują koniak, inni salicylany, inni salol itd. Niemcy ogłaszają jako bardzo skuteczny proszek *fenacetin*.

*) Zwyczaj ten jest starszym, niż influenza i sięga początkiem aż w życie dzikie, gdzie panuje wiara, że przy kichaniu złe lub dobre duchy przez nos wchodzą do ciała. *Red.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z BABIEŃCA.

Marya Rodziewiczówna, *Kwiat lotosu*, Warszawa, 1889.

(Dokończenie).

Musiał to być jasny i silny umysł? — powiesz czytelniku świadomy warunków psychicznych, w których sam wzrosłeś. Nie. W głowie Radwana było „mglisto“ i „dymno“ — odpowiada autorka. Czemu? Bo kaganiec wiary był zgaszony. Właściwie nikt go Radwanowi nie zapalał. Ojciec profesor-filozof wychował go bezwyznaniowo. „Miał zdolności olbrzymie— powiada autorka — lekcye, nad któremi ślęczeli inni, on tylko odczytywał; niepilnowany nigdy, zawsze był pierwszy, i mając dziesięć lat, skończył drugą klasę.“ Wieczorami przy tym samym stoliku, na którym ojciec-filozof pisał swoje „traktaty negacyjne,“ on, dziecko, „wertował“ Spinozę i Darwina (!!), „nabijając sobie głowę fałszem i sofizmatami (!).“ Umierając, zalecił stary Radwan przyjacielowi, żeby syna nie krępowano w nauce, lecz pozostawiono jego własnym siłom. W testamencie kazał mu strzedz się namiętności, nienawidzieć pokory i pamiętać urazy. Po śmierci ojca, któremu p. Rodziewiczówna jako prawowierna katoliczka kazała skonać przy słowach ewangelii odczytanej bezwiednie za zrządzeniem Opatrzności przez syna, młody Radwan kształcił się sam, „chwytał jakby przebłyski prawdy w tumanie i tracił je, dochodził do nowych rozdroży i wracał do niewiary, jeszcze błędniejszy, zrozpaczony, wściekły itd.“ „Sądził się dość silnym — prawi dalej p. R. z ambony — a był tylko zuchwałym i pysznym.“ To też pomimo przyznania umysłu potężnego, każe mu zaniechać studyów medycznych, a później podeptać histerycznie (za przykładem swoim) wogóle wszelką wiedzę, jako „kłamstwo“ i „śmiecie głupich wieków.“ Lecz zanim do tego doszło, doprowadziła go do paru zbrodni. Najprzód z jego powodu Leonka Brzezówna dostała zapalenia mózgu. Wydarł jej wiarę, wzbudził miłość ku sobie, a potem odjazdem swoim bezpowrotnym do Monachium rzucił ją „morderca“ w objęcia ciężkiej choroby. Zanim wyjechał za granicę, gdzie zamierzył oddać się filozofii, spędził wprzód wakacye u kolegi, Adama Lachnickiego, z którego szydził i kusił, żeby szedł z nim w świat. Lachnicki był synem nadleśnego u Rahozy, magnata z Białej Rusi, pana na Rahożnie. Ten biedak śmiał kochać córkę dziedzica. W czasie pobytu na wsi, Radwana obrazili srodze obaj Rahozowie, młody i stary. Poprzysiągł im zemstę. Panicz miał narzeczoną, z którą jechał do Monachium uczyć się malarstwa. Tam się z nią Radwan spotkał. Nienawiść do panicza pod działaniem błahych, niegodnych filozofa przyczyn — wzrastała. Postanowił mu odbić narzeczoną przez udaną miłość, potem wyzwać rywala i zabić. Dokonał tego w majątku panny, sąsiadującym z Rahożną. Burza wtedy szalała, pioruny biły — Bóg się gniewał. Równocześnie los Lachnickiego się rozstrzygał. Ten niedołęga-chrześcianin, po śmierci ojca wolał pozostać jak pies na straży lasów pańskich, niżeli uniwersytet kończyć. W chwili gdy Radwan mordował w pojedynku brata jego ukochanej, dziedzic uwiadomiony o zuchwałych aspiracyach sługi, policzkował go i za drzwi sromotnie wyrzucał. Skończyło się na tem, że obaj, Lachnicki i Radwan, ruszyli w świat na włóczęgę.

Tu się zamyka okres dziejów „pierwszej“ duszy Radwana. Czytelniku, nieświadomy przemiany osobowości u okazów histerycznych—nie śmiej się przed czasem! Wkraczamy w najfantystyczniejszą część powieści p. R. Od chwili, jak Radwan podeptał i oplwał wzgardą nieuka bibliotekę ojca-mędrca, zzuł z siebie, jak wąż wylinę, osobowość filozofa, a wdział na rozkaz kapryśnej wyobraźni pani R. inną — potępieńca, awanturnika, Ahaswera, co chcecie! Ta druga część powieści, poświęcona kilkoletniej tułaczce bohatera, zrodziła się w zupełnie innym nastroju duchowym autorki. Nasuwa się mimowoli myśl, że p. R. jeden ze swoich snów gorączkowych wcieliła w Radwana, że sama pragnąc „kwiatu lotosu,“ a nie mogąc dla słabych sił niewieścich odbyć za nim pogoni, pchnęła w szeroki świat swego bohatera, którego zawczasu opatrzyła, obok wdzięku Ganimeda, muskulaturą Samsona. Ale kto wie, czy nie bliżsi będziemy prawdy, upatrując źródło tej awanturniczości powieściowej w podszeptach romantyzmu utajonego w główce p. R. Na pociechę autorki muszę powiedzieć, że łatwość, z jaką Radwan z towarzyszami przebiegał kulę ziemską z końca do końca, jest bajeczną. Niejeden „sztubak“ pod wpływem opowieści Meine-Reada, rojący sobie dalekie podróże, mógłby jej chyba pod tym względem dorównać. Ale nie traćmy z uwagi przewodniej nici moralnej i *pomyślanego* przez p. R. tła psychicznego. Chociaż Radwan zniknął jako filozof z fachu i w przelocie przez prerye amerykańskie, lodowce bieguna, koszary różnych krajów, dżongle Gangesu, zalewy Amazonki itp. miejscowości znane autorce z geografii, uronił z mózgu „mrzonki metafizyczne,“ nie uronił jednak niewiary. I to go czyni nie-

szczęśliwym, pędzi z krańca na kraniec lub wtłacza w brudne szynkownie portów całego świata i każe szukać zapomnienia w opium. Dlaczego? — spytasz zdumiony czytelniku światły. Bo nie wiesz, jak p. R. wystawia sobie niewiarę. Bardzo pierwotnie, tak, jakby niejeden dziki współczesny wyobrażał ją sobie, gdyby takie przypuszczenie było możliwem. Ten stan umysłu jest u niej aktem woli, nie zaś ewolucyą duchową, samorodną. Panna Rodziewiczówna jest pewną, że można sobie postanowić, uprzeć się dziecinnie—być niewierzącym. Właśnie kazała w ten sposób postąpić Radwanowi. Zmusiła go wprzód, malcem jeszcze, naczytać się Darwina i Spinozy, tj. „fałszów" i „sofizmatów," potem przestudyować medycynę, zostać filozofem, czyli wchłonąć w siebie dużo światła wieku, przy którem mroki przesądów, olśnione, zwykły samo przez się pierzchać, a następnie temuż samemu umysłowi zleciła wypowiedzieć posłuszeństwo Bogu, tak, jak się wypowiada służbę. Po buncie następuje kara, papież rzuca klątwy, a jego mocodawca niebieski — gromy. Wszystkie wierzące serca drugorzędnych postaci powieści p. R., zdjęte zgrozą rokoszu Radwana, przewidują je, czują, że rychło spadną mu na głowę krnąbrną. On sam uczuwa ciężar tych „naprężonych stosunków." Naukę wytrząsł z siebie w przygodach licznych, wędzidła „Ojca niebieskiego" potargał, więc z dniem każdym bydlę w nim się rozbudzało, bo powiedzianem jest, że tylko bestye żyją bez wiary. Ale litościwy Stwórca rozpoczął dzieło nawrócenia: odjął mu przyjaciela. Lachnicki, dusza pełna cnót chrześciańskich, którego czynnie znieważył magnat Rahoza za gruchanie miłosne po kniejach leśnych z jego córką, uwiądł z tęsknoty za ukochaną i znalazł daleki grób w pampach amerykańskich—do chwały niebieskiej został powołany. Był to pierwszy grom, od którego Radwan się zachwiał na nogach, ale pogrozil pięścią firmamentowi i strzelił sobie w piers. Demon!..

Zginął? Wydał duszę szatanowi? Nie. Widzimy go znowu w Rahoźnie. Wrócił tam, aby spełnić ostatnią wolę zmarłego przyjaciela: oddać pozostałe po nim pamiątki ukochanej i nagrobek postawić jego ojcu. W pościgu za „kwiatem lotosu" uronił wdzięk Adonisa a nabył siły Herkulesa, ciągle bezbożny, palony niepojętą żądzą nasycenia się— rozkiełznany źrebak... W Rahoźnie zastał istny raj. Panna Rahozianka po utracie brata i ojca została panią majątku i, filantropka, roztaczała wokoło siebie szczęście. Znalazł tam również Leonkę Brzezównę i nie poznał jej—tak się zmieniła. Nabyła wdzięku kobiecego i, wbrew jego przepowiedniom, uzyskała stopień lekarki. Była także pocieszycielką ludności okolicznej. Ciągle go jeszcze kochała. Miłość ta, jak wyznała księdzu, stanowiła dla niej w czasie studyów talizman, który ją ochronił przed pokusami i upadkiem. Choć pytała księdza, czy bardzo grzeszy tem umiłowaniem przez nią, lekarkę (!), duszy zatraconej Radwana, nie mogła uczucia z siebie wyrzucić. Zbliżyli się ze sobą poraz wtóry: ona, żeby go nawrócić na łono kościoła a potem połączyć się z nim wedle przykazań boskich, on — żeby ją posiąść... Od chwili bowiem, jak go olśniła powierzchownością uroczą, poczuł ku niej żądzę nieprzepartą. Odepchnęła go, zapowiadając, że w razie gwałtu życie sobie skróci. On jej przyrzekł również, że pojądzie ją pomimo jej woli. Jakoż dotrzymali sobie słowa oboje. Pewnej nocy, wychyliwszy wprzód kilka szklanek gorzałki w szynkowni miasteczkowej, poszedł do niej i uszczknął „kwiat lotosu," za którym tak długo po świecie gonił. Nazajutrz znaleziono sztywne i zimne ciało Leonki. Był to drugi grom, którym go „Bozio" na drogę poprawy wzywał. Kochał tę dziewczynę bardzo. „Gdzie spojrzał, widział ją, gdzie się obrócił, ból go nie opuszczał. Szedł, szedł, szedł. Przez rynek, przez ulicę, na most. Tam stanął chwilę i znowu szedł, jak automat czy lunatyk. W głębi jego już go nic bolało — za słaby to wyraz — jego ta męka kładła na łoże i rozszrubowywała członki ze stawów, wyciągała żyły po kolei, brała czaszkę w obręcz i zaciskała, jak w prasie, palącami kleszczami ryła po sercu." Słowem, doznawał cierpień godnych cierpień Heraklesa, pożeranego przez koszulę Dejaniry (patrz *Trachinki* Sofoklesa). Tym razem uległ: nawrócił się na łono kościoła. To było właśnie założeniem powieści. Tylko w logice tak romantycznie-religijnej autorki, jak p. R., możliwą jest podobna zmiana u człowieka, którego wiek młodociany upłynął bezreligijnie.

Innych postaci nie będę analizował dokładnie. Są one tak pół-anielskie, blade i bezcielesne, że niedałyby się krajać, chyba jako abstrakcye p. R. Ale sądzę, że na Radwanie dostatecznie wykazałem, iż czynności duchowe jej bohaterów są w istocie jej własnymi procesami myślowymi, biegnącymi w kierunku prawomyślnym. Jedno jeszcze zaznaczę. P. Rodziewiczówna popełnia przykry anachronizm, każąc Lachnickiemu, człowiekowi z wyższem wykształceniem, być pokornym sługą magnata, który śmie go znieważać biciem, bez najmniejszego odruchu. Dziś prosty chłop kopnięty niesłusznie, nędzny lokaj i ekonom, spoliczkowani, zachowaliby się inaczej, a cóż dopiero młodzieniec, który przed chwilą jeszcze był studentem uniwersytetu. Do prawowierności więc dołączyła autorka wstrętne wspomnienia doby pańszczyźnianej.

Zyg. Pt.

Z NIEMIEC.

20 grudnia.

Nowa powieść Jerzego Ebersa „Jozue," — Powieść archeologiczna a młodzi realiści niemieccy. — Waltha „Tiberius." — „Die Bergpredigt," nowa powieść Maksa Kretzera.

Pewna głośna autorka niemiecka przyznała niedawno Jerzemu Ebersowi publicznie, że powieści jego śmiało dać można w ręce panien dorastających. Świadectwo to, wystawione przez osobę tak kompetentną, dodało snać otuchy powieściopisarzowi, którego w ostatnich czasach tak silnie atakowano. Ebers postanowił obdarzyć podlotki niemieckie na gwiazdkę historyą wyjścia żydów z Egiptu, opowiedzianą przyzwoicie i romantycznie, nie owym szpetnym sposobem Starego testamentu. Naturalnie, Mojżesz nie może być bohaterem powieści Ebersowskiej, gdyż podlotki słusznie dziadów nie lubią. Za to młody Jozue posiada wszelkie kwalifikacye do zdobycia kilku serc staro-egipskich i hebrajskich i nicliczonych serduszek nowoczesnych. Modernizując księgę „Exodu," użył Ebers czterech intryg miłosnych i powikłanej—dworskiej.

Jozuego, służącego w wojsku egipskiem, upatrzyła wieszczka Mirjam, siostra Mojżesza, na wodza emigrujących żydów. Niechętnie Jozue ulega temu wezwaniu, gdyż zajmuje stanowisko świetne, a z egipcyanką Kasaną łączą go węzły czułe. Lecz kiedy Farao każe mu ścigać żydów, Jozue przybywa do obozu Mojżesza, gdzie bezwłocznie pokochał Mirjam. Ale ona w miłostki się nie bawi, więc Jozue wraca do egipcyan, ponieważ zaś obecnie z Kasaną żenić się już nie chce, krewni jej sprawiają, że zostaje uwięziony. Na widownię występuje teraz uroczy młodzieniec Efraim, bratanek Jozuego, który romansuje w niewinności swej ze wszystkiemi kochankami stryja. Prześliczny ten chłopiec mdleje często i zachcucony bywa przez czułe niewiasty. Bohaterką tą drogą uwalnia wreszcie uwięzionego stryja. Następuje opis przejścia żydów przez morze; słup dymny, to pomysł Efraima, który każe kadzielnice nieść u samego końca rzeszy zbrojnej. Z armią utonęło mnóstwo kobiet egipskich, między niemi Kasana, którą jednak fale żywą na ląd wyrzucają, tak, iż może nastąpić jeszcze zajmująca scena między nią a Jozuem, Efraimem i Mirjam. Wszystko rozjaśniło się pod koniec powieści. Jozue, morduje amalekitów, jak na bohatera przystało, ma zarazem sen proroczy, w którym widzi prześlicznego chłopca o rysach Kasany. Chłopiec ten wygłosił trzy słowa, które Jozue jednak zapomniał. Na szczęście i Ebers był przy tem — wie on, kim był ów chłopiec: to drugi Jozue (Jehoschna), który kiedyś ludzkość całą zbawi, a słowa przezeń wyrzeczone, były: miłość, łaska, zbawienie.

Dopóki Ebers papirusy egipskie rozpuszczał w wodzie beletrystycznej, mniej uczuwano brak prawdziwej intuicyi poetyckiej w jego utworach. Lecz tu sąd każdego czytelnika wytknie miękość, gadatliwość i romantyczność postaci, których rysy znane są z Biblii. Są to figurki z cukru, sprowadzone na gwiazdkę; szkoda było postaci biblijnych dla pióra Ebersa.

Trzeba przyznać śmiałym jego przeciwnikom, młodym realistom niemieckim, że prześcigają go prawdą i siłą charakterystyki. Taki Walloth, który po swej „Oktawii" w „Gladjatorze" zdawał się już wyczerpanym, obecnie w „Tyberyuszu" stworzył nowy szereg postaci zajmujących a prawdopodobnych. Tyberyusz, to nowy typ cezaryzmu a i takiego Sejana nie spotkaliśmy jeszcze w galeryi powieści historycznych. Pierwiastek miłosny znacznie w tej powieści jest zredukowany; reprezentuje go tylko bohaterka Tusnelda. Prawdziwej siły epicznej nie widzimy ani u Wallotha, ani u Ebersa, który wykończeniem formy prześciga znacznie młodego współzawodnika.

Na tę formę, która dotychczas była najsłabszą stroną realistów niemieckich, baczną zaczyna zwracać uwagę najwybitniejszy pomiędzy nimi talent powieściopisarski, Maks Kretzer. Jego „Verkommenen" i „Meister Timpe" pełne jeszcze były twardości i dziwactw językowych, których autor nie mógł się pozbyć; były drukarczyk nie umiał bowiem dotychczas rozszerzyć wykształcenia swego o tyle, by uznać można pretensyę przyjaciół jego literackich, którzy go zowią „niemieckim Zolą." Nie, chociażby odgłos tych trąb krytycznych brzmiał jaknajdonioślej, żaden czytelnik ze zdrowym sądem nie pomyśli jeszcze o Zoli, czytając Kretzera, aczkolwiek autor ten szczerze się stara pójść w ślady powieściopisarza francuskiego w poważnych, epicznych swych satyrach społecznych. Jego opisy nie posiadają plastyczności, a sposób charakteryzowania ludzi traci karykaturą. Dziwnym jest też w nim widoczny brak szerszej obserwacyi życia, ludzi i stosunków. Czując brak ten, Kretzer opiera się na postaciach nielicznych, a i te wprost kopiuje, zamiast przekształcać. „Die Bergpredigt" to satyra na nowoczesną obłudę religijną, która, podobnie jak wieki średnie, z nauk Chrystusa o miłości braterskiej i wolności wysnuwa przepis nietolerancyi i ucisku. Zdaje się jednak, że Kretzer nie zna dokładnie owych kół pastorskich, które przedstawia w swej powieści. Pastor nadworny Bock, to wierny portret Stöckera, lecz już drugi, Juliusz Baldus, scharakteryzowany jest dość szablonowo ukrytą zmysłowością.

Zdając sprawę o przedostatniej powieści Kretzera „Ein verschlossener Mensch," donieśliśmy już, że autor ten stara się odłączyć od młodej szkoły realistycznej i zająć stanowisko, zbliżone do uznanego powieściopisarstwa niemieckiego. Udało mu się istotnie pozyskać znaczną część krytyki, która innych realistów pomija milczeniem. Niedawno temu publicznie przeciął węzły

łączące go dawniej z grupą Bleibtreua, Conrada i Albertiego. Obecnie *Berliner Tageblatt* wziął go pod opiekuńcze swe skrzydła, dawni zaś towarzysze, mszcząc się na ambitnym koledze, który im głównie zawdzięcza swe powodzenie, przezwali go „das Urgenie der Hintertreppenpoesie.“

Ladawa.

POEZYA.

GRODZISKO*).

Step dookoła szeroki legł
Po widnokręgu zamglony brzeg;
A pośród stepu stojąc na straży
Stare grodzisko z wichrami gwarzy.
Jak zgasły wulkan, co wieki spał,
Zdaleka ciemny wygląda wał,
A płodne lato na pochylone
Barki mu z kwiatów rzuca zasłonę.
Popłoch zalega głęboki dół,
Spędziwszy w górę tłum słabszych ziół;
Żmijawca tylko zastępy sine
Walczą na lepsze z nim o dolinę.
Wyżej *tymianków, karbieńców* rój
Z *chmielkiem, rześniami* prowadzi bój;
Wśród nich *ostróżki* łodyga wiotka
Chwieje się zlekka, lub sterczy *kotka.*
Bieleją *wyszpin, krwawnik, przytula*;
Z ustroni *wdówka* krągłem jak kula
Okiem wysmukłą mierzy *dziewannę*,
Śpią po zakątkach powoje ranne;
Gdzieniegdzie, jakby kropelka krwi,
Czerwonej *smółki* kwiatek się lśni...
Zrzadka tu pszczoła ze wsi zaleci,
A świerszcze polne — stepów poeci —
Stare niezmienne swe nucą zwrotki
W cieniu *kuśmierki*, albo *lebiodki*,
Póki nie spłoszy im tej zabawy
Żwawa jaszczurka pełznąc śród trawy.

I śni samotny na polu gród
O czasach dawnych, gdy liczny lud
Tu się zgromadzał, tu bogów czcił,
Tu miał kolebkę duchowych sił.
O chwilach bojów, o krwi potokach,
Które się lały po wału stokach,
O bohaterach zamierzchłej doby,
O dniach świątecznych i dniach żałoby,
O wiekach zbiegłych, jak lotne mgły,
Jako w niepamięć zapadłe sny.
Bo szły tu rzesze ludów koleją —
Jedne, jak burze, które szaleją
I kraj zniszczywszy pędzą gdzieś dalej,
By w mórz powietrznych zaginąć fali;
Inne siadały na wale grodu,
Jak ranne blaski idąc ze wschodu,
I jak zachodnie słońca ognisko
Znikały, krwawo barwiąc grodzisko.
Jedne z nich były jak te gołębie
Lecące nakształt srebrzystych strzał;
Inne — jak żądne łupów jastrzębie —
Na starych grodzisk siadały wał
I nad szerokim stepem krążyły,
Aż ptak z zachodu spędził je stąd,
Siadł na krawędzi wielkiej mogiły,
Pod cień swych skrzydeł biorąc ten ląd.
I wyhodował młode orlęta,
Wolne — jak stepów ziemia nietknięta,
Dzielne — jak bajek dawnych rycerze;
I były skrzydła ich jak puklerze
I jako miecze ostrza ich szpon...
Dziś je owionął tchnieniem swem zgon:
Pierś swą własnemi rozdarły szpony,
Brat się na brata rzucił szalony,
I krew zalała grodziska wał,
I kraj się cały ruiną stał.

Pustkowiem stoją odwieczne grody,..
Tylko pieśń, z wichrem idąc w zawody,
Pieśń, co z cmentarnych ruin wykwita,
Czasem starego grodu się pyta,
Czy w głębiach ziemi jeszcze się żarzy
Z porozwalanych popiół ołtarzy,
Czy chowa jeszcze ta gleba czarna
Z niw stratowanych żyjące ziarna?

J. B. Kutyłowski

*) Grodzisko — po małorusku *horodyszczem* zwane — jest to wał w kształcie sześcio- lub ośmiokąta zamkniętego, pozostałość plemion scytyjskich, później przystosowywana nieraz do rozmaitych potrzeb (obrony, obozowisk) przez późniejszych mieszkańców kraju. Należy odróżniać grodziska od kurhanów, mogił i t. z. majdanów (placówek).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Łatwa sztuka. — Przekłady rymowane. — Zadanie i obowiązek tłomaczów. — „Nowa wiosna“ w szacie p. Jankowskiego. — Mała zasługa a wielka odwaga. — Jak się ustrzedz przedsięwzięć chybionych. — Tajemnica *Ziarna*. — Jego ubóstwo i niezależność.— Pożegnanie z czytelnikami.

Jeżeli gdzie „sztuka jest trudną a krytyka łatwą“ — to w przekładach rymowanych: łatwiejszem może być tylko poprawienie natury w jej prawach, wykazywanie głupoty ludziom żyjącym przed tysiącami lat, ośmieszanie niezręczności słonia, dowodzenie wyższości człowieka nad mrówką — i tym podobne mądre czyny. Ponieważ dosłowne tłomaczenie rymów rymami jest nawet dla bogów niemożliwe, gdyż w jednej mowie *Kater* składa się z *Theater*, ale w drugiej *kot* nie składa się z *teatr*; ponieważ wyrazy jednej nie odpowiadają ilością zgłosek wyrazom drugiej, przeto dość posiadać bodaj powierzchowną znajomość jakiegoś języka, ażeby całą wołową skórę zapisać grzechami tłomacza względem oryginału. W ten sposób bez wielkiego trudu można powalić nawet takich olbrzymów, jak Mickiewicz. Gdyby p. Czesław Jankowski był tylko zaatakował przekład „Wyboru pism“ Heinego w wydawnictwie Spółki Nakładowej szturmem zakrytym (w *Kraju*) i jawnym w *Tygodniku ilustrowanym*, powiedziałbym, że zatęsknił do wawrzynów tanich i łatwych. Ale p. Jankowski sam przetłomaczył „Nową wiosnę“ Heinego, więc dowodnie okazał, jak według niego powinna wyglądać robota, którą inni spartolili; obok nagany dał wzór do naśladowania — próbę swego talentu i... odwagi. Przed obejrzeniem z czytelnikami tego modelu wyznać muszę, że według mnie zadaniem i obowiązkiem tłomacza jest tylko odtworzenie myśli i obrazów poetycznych oryginału w rysach zasadniczych. Tak np. jeżeli ktoś powie, że „cierpienie jest wielkością“ — nie można tej myśli wyrazić przez: „cierpienie jest cynamonem“; jeżeli ktoś porówna promienie słońca do rzęs oka, nie można równoważnie tych promieni porównać do drutów mosiężnych.

A teraz zobaczmy, jak sobie z tem zadaniem poradził p. Jankawski.

Heine pisze dosłownie: „Siedząc pod białem drzewem, słyszysz zdala świszczące wiatry, widzisz, jak w górze nieme obłoki okrywają się oponami z mgieł.“

P. Jankowski:

Oto białe stoją *drzewa*,
Wiatr *pomyka* w dal *równiną*,
Cicho, zwolna, w mgły zawojach
Patrz — obłoki niebem płyną.

Obraz został nieco zmieniony, w lichym zaś przekładzie Kraushara wyszedł tak:

Pod śnieżystem siedząc drzewem;
Słyszysz zdala wichrów tony,
Widzisz, jak milczące chmury
W mgły chowają się osłony.

Heine: „Piękne oczy nocy wiosennej spoglądają pocieszająco: jeśli cię miłość zniżyła, miłość cię znowu podniesie.“

P. Jankowski:

Źrenicami gwiazd wiosenna noc
Patrzy ku nam łagodna i cicha.
O miłości! dziwna twoja moc:
Wznosi w niebo i w otchłań spycha.

Kraushar:

Wiosennej nocy wzrok powłoczysty
Pociechę duszy twej niesie:
Jeśli cię miłość z wyżyn strąciła,
Ona cię znowu podniesie.

Heine: „Kocham pewien kwiat, ale nie wiem który — i to mnie boli. Patrzę we wszystkie kielichy kwiatów i szukam serca.“

P. Jankowski:

Kocham ja kwiat, lecz które jest kwiecie,
Nie pomnę już...
Daremnie wciąż ja szukam *go* po świecie
Wśród wszystkich *róż*.

Kraushar:

Kocham kwiat pewien—lecz nie wiem jaki—
I to mnie boli.
Więc w kwiaty wszystkie, szukając serca,
Wglądam powoli.

Heine: „Słowiki śpiewają z liściastej wyżyny; białe jagniątka skaczą w miękkiej, zielonej koniczynie.“

P. Jankowski:

Śpiewają *wiosny chwałę*
Ptaszęta wracające
Owieczki piękne, białe
Po miękkiej skaczą łące.

Kraushar:

Z liściastej wonnej altanki
Słowików śpiewają tony
I skaczą białe baranki
Po miękkiej trawce zielonej.

Heine: „Brzmią wszystkie drzewa i śpiewają wszystkie gniazda. Kto jest kapelmistrzem w tej zielonej orkiestrze leśnej?“

P. Jankowski:

Rozśpiewany cały las,
Chóry, sola trele (!!),
Któż tak pięknie uczył grać
Tę leśną kapelę?

Kraushar:

Brzmią weselem wszystkie drzewa,
Z gniazd wzlatują śpiewne tony,
Któż jest owym dyrektorem
W tej orkiestrze drzew zielonej?

Heine: „Bieda ciśnie, niech dzwony dźwięczą — ach, straciłem głowę.“

P. Jankowski:

Co być miało, to się stało,
Gdzie mi walczyć z taką siłą?

Kraushar:

W dzwon niech na trwogę uderzą,
Zmysły się moje rozprzęgły!

Heine: „Ach, tęsknię do łez, łez miłości, łagodnie bolesnych, i boję się, ażeby wreszcie to pragnienie nie spełniło się. Ach, słodka nędza miłości, gorzka jej rozkosz wślizga się znowu z niebiańską męką w pierś zaledwie zgojoną.“

P. Jankowski z dwu strof robi trzy, rozwadnia liryzm, zaprawia pospolitością i niefortunnymi dodatkami:

Ach, mnie tęskno już za wami
Łzy *serdeczne, błogie* łzy!
Gdzież (?) ty z szałem (!) twym i łzami,
Gdzież miłości moja ty?
Gdzież są te *szczęśliwe* chwile,
Gdym *rozpaczy* bliski był?
W sercu świeżych ran mam tyle,
Wyczerpałem resztę sił.
I znów oto w nie się wkrada
Miłość nowa — *chciałem sam*
Przyjąć trzeba — trudna rada,
Czegom pragnął, to i mam.

To ma być Heine! Naturalnie gorzej według p. Jankowskiego przetłomaczył Kraushar, bo:

Za miłości tęsknię łzami,
Aby zwilżyć pierś spragnioną,
Lecz się lękam, że ta prośba
Może jeszcze być spełnioną.
Ach, miłości słodkich męki,
Gorzkie łzy, co dręczą łono,
Znów tajemnie się wkradają
W pierś niedawno zagojoną.

Doszliśmy dopiero do str. 17 przekładu p. Jankowskiego. Właściwie należałoby przepisać całą książkę — z wyjątkiem paru urywków lepszych — gdyż prawie cała świadczy, że tłomacz bardzo swawolnie przeskakuje przez trudności, obrazy poety niemieckiego zmienia lub zaciera, najczęściej — pospolitymi czyni, Krausharowi zwykle nie dorównywa, a co do tonu właściwego Heinemu — nastroić się do niego

nie umie. Dla dopełnienia prób powyższych niech ciekawy i cierpliwy czytelnik porówna z oryginałem ustępy 18, 19, 25, 28, 36, 40 i 43 — znajdzie tam strofy mimowoli humorystyczne. Przebaczylibyśmy je p. Jankowskiemu, przebaczylibyśmy mu, gdy „Rosen blühen röther („I czerwieniej kwitną róże,“ Kraushar) tłomaczy: „róże zda się jeszcze bledsze“; „nur ein einziger, traurig schweigsam... Baum steht uentlaubt“ („Jedno tylko drzewo smutne dźwiga jeszcze zieleń płową,“ Kraushar) — „*w pełnej krasie* jodła stoi“ i tym podobne grzechy, gdyby po spełnieniu ich nie rozparł się na sędziowskiem krześle i nie wydał wyroku bezwzględnie potępiającego lepszą pracę cudzą. Kto słowa Heinego: „zbyt wiele myśleć jest niebezpiecznie podczas całowania; raczej płacz, kochana duszo, gdyż płacz jest lżejszym,“ przekłada:

Nie trudź główki, moja droga,
Rozmyślanie — *już po czasie* (!!),
Gdy całujesz, tylko płakać
Albo śmiać się na coś zda się.

kto przypuszczenie poety, że wynalazca zegara zapewne *liczył* tajemne chrupanie myszy i miarowe kłucia świdrzyka, oddaje przez:

Samotnikowi *nie mąciły* ciszy
Skrzeczenie świerszczów i dreptanie myszy.

kto takie złożył dowody umiejętności tłomaczenia Heinego, ten doprawdy powinien mieć mniej odwagi w sądzeniu innych. P. Jankowski uważa wydanie Spółki Nakładowej za „przedsięwzięcie chybione“ i radzi „rzecz całą rozpocząć na nowo.“ No, przypuśćmy, że ta Spółka, której p. Jankowski ofiarował był swoją „Nową wiosnę,“ przyjęła jego „rzecz“; naturalnie wtedy jej „przedsięwzięcie nie byłoby chybione.“ Ale kto nam zaręczy, że wówczas p. Kraushar z daleko większem prawem nie powiedziałby: „w *Wyborze pism* Heinego znajduje się przekład „Nowej wiosny“ p. Czesława, który uważam za chybiony i sądzę, że należałoby go podjąć na nowo“? Bądźmy szczerzy: Spółka nakładowa może postąpiła rozumnie przy wydaniu pierwszego tomu pism Heinego, pomieściwszy w niem głównie przekłady poety polskiego, który od lat wielu zajmuje się Heinem i złożył najliczniejsze dowody tej pracy i talentu, ale postąpiła nieroztropnie. Powinna ona była wezwać do uczestnictwa wszystkich reporterów, pisujących recenzye, wszystkich Mików, Fików, Pików i Pikwików, nabyć od każdego bodaj po jednym wierszu— a wtedy... ile jest w Warszawie trąb reklamy — tyle by ich brzmiało, wtedy „przedsięwzięcie“ nie byłoby „chybione,“ a „całej rzeczy“ nie potrzeba byłoby „rozpoczynać na nowo.“ Ale dlaczego młynarz, syn i osioł nie wynaleźli tego sposobu, znajdując się w podobnym kłopocie? Nic wszystko jednak jeszcze stracone. Dopiero wyszedł tom pierwszy pism Heinego; przy następnych Spółka powinna wiedzieć, co jej czynić wypada, aby jej „przedsięwzięcie nie było chybionem.“

Kto z was jest bez grzechu... reklamy, ten niech na innych rzuci kamieniem. Prawo to i ja chcę dziś utracić. W ciągu roku czytelnicy pism warszawskich dowiedzieli się o rozmaitych rzeczach: że Sara Bernard kłóci się z Claretiem, że p. Przybylski zamierza pisać komedyę, że na przyszłych wyścigach w Anglii konie będą miały kopyta pomalowane na niebiesko, że Sara Bernard godzi się z Claretiem, że p. Przybylski ukończył akt pierwszy nowej komedyi, że konie wyścigowe itd.; ale wątpię, czy ktokolwiek z dobrze poinformowanych wygadał się, że w Warszawie wychodzi tani dziennik *Ziarno*. Otóż postanowiłem dziś zdradzić tę tajemnicę, zwłaszcza że ją odsłonił wydany przez nie i do *Prawdy* dołączony prospekt. *Ziarno* jest gazetą prostoduszną, bogobojną i ubogą, nosi więc z sobą całe potomstwo biedy — długi zaciągane u innych pism, rachityczny współpracowników itp. Jestem wszakże przekonany, że ułomności te zniknęłyby w powodzeniu, na które *Ziarno* zasługuje, jako tanie (3 rs. rocznie) i niezależne. Tak taniego dziennika, przystępnego najniższym klasom społeczeństwa, nie mieliśmy dotąd, sojuszów zaś, przymierzy, małżeństw, klik i służb posiadamy w prasie naszej tyle, że już pomijamy, co nowy zapaśnik prawi, aby tylko prawił szczerze, nie według obowiązków najmu, komendy i przyjaźni. Pod żadną z tych zależności *Ziarno* dotąd nie weszło, powinno więc znaleźć poparcie w sferach, dla których może być odpowiedniem i pożytecznem.

* * *

Pożegnajmy się, szanowni czytelnicy, na mogile starego roku życzeniem, ażeby on nigdy nie zmartwychwstał i w potomkach swoich nie odrodził się. Niech umrze bezpłodny, niech dręczy tylko naszą pamięć wspomnieniami, ale na piersiach swego następcy zmorą nie leży. Niech po nim ocaleją jedynie te iskierki szczęścia ludzkiego, których zgasić nie zdążył lub nie mógł.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Handel. Do ministeryum skarbu wniesiono projekt ustawy banku przemysłowego, mającego na celu udzielanie kredytu osobom, prowadzącym handel z Persyą. Kapitał banku wynosi 3 miliony rs. Główne biuro ma być w Moskwie. (*Now. Wr.*).

Koleje. Towarzystwo amerykańskie złożyło władzy projekt urządzenia w Rosyi kolei napowietrznych.

Konkurs, zapowiadany przez administracyę salonu Krywulta na najpiękniejszą głowę kobiecą naturalnej wielkości odbędzie się w marcu r. p. Ocena utworów powierzona będzie publiczności za pomocą kartek wrzucanych do puszki. Nagrody dwie: 100 i 50 rs. Dzieła nagrodzone pozostaną własnością autorów.

Przemysł. W Aleksandrowie (pod Łodzią) zwinięto dwie fabryki chustek włóczkowych skutkiem złych interesów.

— W Dąbrowie górniczej rozpoczęto poszukiwania rudy żelaznej z powodu czwartego pieca wielkiego, który powstanie na wiosnę.

— W Cesarstwie utworzyło się towarzystwo celem eksploatowania wód mineralnych w Rosyi.

— Ministeryum dóbr państwa zajmuje się nieustannie sprawą wiejskiego przemysłu drobnego. W celu poparcia jego zamierza ono urządzić w kilku punktach handlowych składy wyrobów wiejskich. (*Mosk. Wied.*).

Szkoły. W Częstochowie firma Hille i Dietrich (wielka fabryka worków) wybudowała i urządziła gmach szkolny.

— Przy fabryce wyrobów bawełnianych braci Pelerów w Częstochowie powstaje szkoła dla dzieci robotników, których zakład zatrudnia przeszło 2,500. Bez względu na koszta, szkoła ma otrzymać urządzenia według najnowszych wymagań. Oprócz mieszkań dla nauczycieli, zakład otrzyma cztery sale: dwie na klasy, dwie dla nauki wieczornej dla starszych dzieci, pracujących we dnie.

— Liczba studentów uniwersytetu niemieckiego w Pradze w ciągu dwóch lat ostatnich ogromnie się zmniejszyła.

— Sejm bukowiński przeznaczył 80,000 złr. rocznie na założenie wydziału lekarskiego przy uniwersytecie w Czerniowcu, samo zaś miasto dawać będzie rocznie 20,000 złr.

— Władze naukowe w okręgu charkowskim otrzymały zawiadomienie, że w r. p. egzaminy z języków starożytnych odbywać się będą według zmienionego programu. Pomiędzy innemi piśmienne z języka ruskiego na grecki i łaciński składane będą tylko przy przejściu z klasy 6 do 7.

Katastrofa. W Batumie w składach artyleryi nastąpił wybuch granatu. Czterech robotników zginęło, czterech otrzymało silne poparzenia.

Turniej średniowieczny na dochód budowy gmachu Towarzystwa sztuk pięknych mają urządzić artyści malarze.

Ograniczenie. Liczba obrońców prywatnych przy warszawskim zjeździe sędziów pokoju ma być z rokiem przyszłym znacznie ograniczona. (Obecnie jest ich 40).

Zebranie akcyonaryuszów kolei W. Wiedeńskiej uchwaliło podział czystych zysków ze skarbem państwa. Sprawę tę wkrótce rozpatrzymy szczegółowiej.

Literatura. Z powodu przypadającej na r. 1892 czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki, rząd waszyngtoński zamierza wydać dzieło, w którego stworzeniu mają wziąć udział znani pisarze wszystkich narodowości świata. Wydatki (według waluty ruskiej) wyniosą około 600,000 rs.

— Prof. Smolka złożył w Akademii umiejętności w Krakowie sześć tek, zawierających prace, dokonane przez młodych historyków naszych, badających materyały polskie w archiwum watykańskiem.

— Dr. Wołyński ogłasza drukiem w języku włoskim spis 10,000 imion i nazwisk polaków, którzy uczęszczali do Akademii w Padwie od r. 1593 do 1743.

Wystawy. W r. p. w Petersburgu odbędzie się wystawa ogrodowizn i sadownictwa.

— W temże mieście w r. p. odbędzie się wystawa hygieniczno-sanitarna, na którą wyznaczono 30,000 rubli.

— W Frankfurcie n. M. odbędzie się w r. p. międzynarodowa wystawa elektryczna.

— Na niemiecką wystawę pływającą podpisano 100,000 marek kapitału zakładowego.

Muzyka. W Piotrkowie postanowiono urządzać stale co kilka tygodni wieczorki muzykalno-wokalne.

— W warszawskiem Towarzystwie muzycznem odbył się 300-ny wieczór muzykalny.

— Trupa małoruska w Eldorado wystawiła celniejszy utwór Łysienki: „Utopłena.“

— Teatr ruski przez czas pobytu swego we Lwowie poniósł znaczne straty materyalne.

Szpital w Tworkach otwarty będzie w pierwszych dniach r. p.

Hypnotyzm. *Kaliszanin* donosi, iż w szpitalu św. Trójcy w Kaliszu stosowany jest hypnotyzm jako środek leczniczy z pomyślnym skutkiem.

Rolnictwo. Komisya, zajmująca się sprawą podniesienia rolnictwa, opracowała pomiędzy innemi projekt wzajemnej asekuracyi rolnej.

Cło. Do ministeryum skarbu wniesiono podanie o podwyższenie cła od owoców zagranicznych, oprócz cytryn i pomarańcz.

Towarzystwo ubezpieczenia podróżnych, jeżdżących parowcami, tworzy się w Petersburgu.

Spółka spożywcza powstaje w Humaniu.

Sprzedaż na raty premiówek 1-ej i 2-ej seryi będzie wkrótce ostatecznie wzbroniona wszystkim kantorom bankierskim.

Zmarli. Władysław Sandecki, w Warszawie, zdolny rysownik. Ur. w r. 1861.

— Gen. Trepow, w Kijowie; niegdyś oberpolicmajster m. Warszawy.

— Stefan Apathy, wybitny poseł i prawnik węgierski.

— Marcin Tuper, filozof i poeta angielski.

— Jefferson Davis, b. prezydent zbuntowanych Stanów południowych Unii w walce secesyonistów. Zm. w N. Orleanie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu J. Andrz. M. Że oba dzieła wyjdą, nie ulega wątpliwości, ale kiedy — ściśle sami wydawcy oznaczyć nie mogą. W ciągu roku przyszłego.

Panu O. J. z Rawskiego. W rozumowaniu przeciwnika Waszego tkwi przedewszystkiem ten błąd zasadniczy, że źródłosłowem nie jest (po)seł, lecz (po)sł, jak świadczy zaraz drugi przypadek, w którym owo *e* wtrącone ginie. Uprawniony w gramatyce zwyczaj każe pisać: *posyłka*, a nie *posełka*.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Do numeru obecnego dołączamy dodatek kwartalny, ark. 4—9 **Historyi Rewolucyi francuskiej** Migneta.

Nowe nadzwyczaj tanie wydanie

POEZYJ

ADAMA MICKIEWICZA

W 4-ch TOMACH,

poprzedzone życiorysem skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego i ozdobione portretem autora rysunku Horowitza.

Sprzedaje się we wszystkich księgarniach miejscowych i na prowincyi.

Cena 4-ch tomów **kop. 80,**

w oprawie ozdobnej w płótno angielskie **rs. 1 kop. 50.**

Za przesyłkę w obrębie Królestwa po kop. 20, w guberniach bliższych Cesarstwa po kop. 40, a w dalszych po kop. 60 od egzemplarza dołączać należy.

Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Br. Rymowicza w Petersburgu.

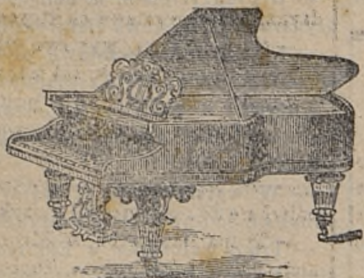
GEBETHNER I WOLFF

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Największy w Kraju

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.



Wynajem instrumentów.

☞ SPRZEDAŻ NA RATY. ☜

Niecała Nr. 12,

JAN KAMIEŃSKI

Magazyn Obuwia Damskiego, Męzkiego i Dziecinnego, Wybór znaczny gotowego, a także obstalunki.

Ze względu na ogólne „ciężkie czasy," przez czas karnawału od dziś **10% taniej** od cen zwykłych.

JAN KAMIEŃSKI

Niecała Nr. 12.

Podana przez SMOŁĘ przechwałta, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGĄ, opartą na własnej reklamie dla złowienia świeżego wspólnika.

F. Drechsler

Warszawa, Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!

PEWNY ŚRODEK

„EXSICCATOR"

OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYBKA i t. p. — BROSZURKA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE.

POSZUKUJĘ AGENTÓW.

Wyn. Inż. G. Ritter. KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanemi smołami, vel gudronitami.

OΙΝΟΣ ΕΛΛΗΝΙΚΟΣ

Wina Greckie

znakomitej dobroci w 6-ciu gatunkach.

Skrzynki **po 12 Butelek** w cenie **Rs. 10 kop. 80** wysyłają do wszystkich stacyj w Królestwie franco.

Bracia Kempnerowie, Długa, 5.

PRACOWNIA I MAGAZYN OBUWIA

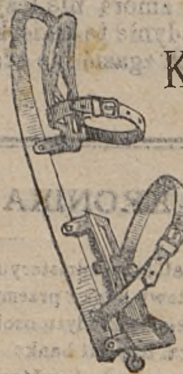
Mężkiego, Damskiego i Dziecinnego

E. ZAPOLSKIEGO

Marszałkowska 121 (róg Siennej).

WYROBY W NAJPRZEDNIEJSZYM GATUNKU.





wszelkiego rodzaju i gatunku

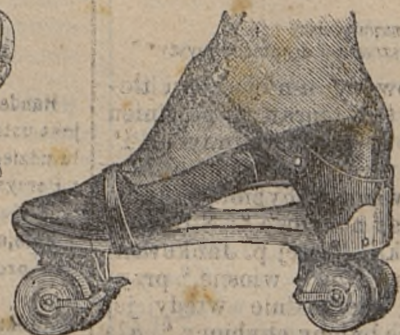
POLECAJĄ

KRYSZTOF BRUN I SYN

plac Teatralny, Nr. 466.

w Warszawie.





Cenniki ilustrowane na żądanie franco i gratis.

Handlującym ustępujemy znaczny rabat.

Nowo otworzony

SPECYALNY MAGAZYN

oraz Pracownia Ubiorów

i BIELIZNY DZIECIĘCEJ

A. SIERZPUTOWSKIEJ

WARSZAWA, ul. Czysta Nr. 8.

Poleca JW. i WW. Rodzicom wielki wybór ubrań gotowych dla dzieci, oraz bieliznę, a także wyprawki dla niemowląt. Robota wykończona podług najświeższych modeli z możliwą akuratnością po cenach umiarkowanych. Prócz tego przyjmuje roboty z materyałów powierzonych, które wykończać będzie na czas umówiony.

Najnowsze Książki

Czytelnia K. PASZKOWSKIEJ

14, Chmielna, 14.

Lornetki teatralne achromatyczne, **Mikroskopy, Termometry, Binokle, Okulary, Lokomobilki, Lokomotywki parowe, Latarki czarnoksięzkie** i t. p. poleca o 25% taniej optyk

JULJAN DREHER, Szpitalna 6.

Przyjmuje wszelkie reperacye.

„Na Raty"

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincye

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na **dokładny adres** z powodu istniejących firm podobnych i na **umieszczony w wystawie** napis **„Na raty."**

Russkaja Myśl,

Miesięcznik polityczno-literacki.

Warunki prenumeraty na rok 1890: z przesyłką wewnątrz państwa: na rok 12 rs., na pół roku 6 rs., na 3 miesiące 3 rs., na miesiąc 1 rs.; za granicą rs. 14, 7, 3 k. 50.

Dla abonentów rocznych dopuszcza się rozpłata przy zapisie, 1 kwietnia, 1 lipca i 8 października po 3. rs.

Księgarze otrzymują 50 kop. rabatu od każdego egzemplarza rocznego, bez kredytu i rozpłat.

Miesięcznik wychodzi pod dotychczasową redakcyą i w dotychczasowej objętości.

Prenumerata przyjmuje się: Moskwa, Leontiewskij pier. 21. Wydawca i redaktor W. M. Ławrow.

Czytelnia dla Kobiet

36, Nowy-Świat, 36,

Wybór Książek Naukowych

i Beletrystycznych.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Декабря 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski